Nr. 20 (1634) Warszawa, 18 maja 1912 r. Rok XXXII.

PRAWDA

Tygodnik polityczny społeczny i literacki.

Redakcja i Administracja: WŁODZIMIERSKA 5. Telefon 73-80

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

W otwarte karty...

Już dochodzą ze wsi, z głuchych kątów prowincji, złowróżbne wieści o pierwszych niesnaskach, starciach i tumultach śród ludu, wywołanych klątwą kościelną, na Zaraniarzy rzuconą. Brat wstaje przeciwko bratu...

Lada dzień może nam w oczy bryzgnąć jakąś potwornością krwawą i bezpowrotną. Słowa zamierają nam na ustach, gdy myślimy o grożącym niebezpieczeństwie, bowiem zdarzają się chwile, gdy sam dźwięk słów przeraża. Wprawdzie zastępy ludu, ogniskujące się wokół *Zarania* wykazały niezwykłą moc równowagi moralnej, męztwa, roztropności i tej słoneczności ducha, która rozbraja nawet wroga, ale, z drugiej strony, któż nie widzi, że tutaj wróg jest wyjątkowo zuchwały, napastliwy i dziki?

Kościół wymierzył swój cios dokładnie; działa z głęboką świadomością skutków. Kościół przygotowany jest na zbrodnicze następstwa swego kroku. Następstwa te przewidział i liczy na nie. Liczyć musiał na nie z góry, ważąc się na krok stanowczy, bowiem klątwę rzucono nie dla niej samej, ale dla skutków, które wedle rachuby, sprawić ma i powinna.

— Dlaczegóż to, słyszymy zapytania, duchowieństwo tak srogą karą dotyka bogobojny lud wiejski, gdy obojętnie, jeśli nie pobłażliwie, patrzy na urągliwie bezbożne mieszczaństwo? Chłop chce dochować wiary swej religji, chce wszystkimi siłami służyć Jezusowi, który ma w swych ręku grady i burze, ale i rosy rzeźwiące i płodne deszcze, natomiast inteligencja miejska swą religję i swych bogów, jako straszące widma przekazała dzieciom i piastunkom. Czemu więc pobożny chłop, za włos, strącony z głowy księdza, płaci zbawieniem duszy, a niewierzący sceptyk za obalenie majestatu boga kary żadnej nie ponosi? Czemu?

Oto: inteligencja drwi z bogów, ale szanuje — księdza. Bóg zaś umie przebaczać. C'est son métier — rzekł o nim Heine. Nie przebacza nigdy tylko Kościół. Tylko Kościół potrafi twardo wiekami stać przy swojej zemście. Niestety, chłop, który pragnie żyć w zgodzie z Bogiem, nie może się zgodzić z księdzem. Szanuje Boga, nie może, tak jakby pragnął, szanować księdza. Inteligencja, nawet wówczas, gdy szydzi z księdza, jeszcze czcią otacza jego suknię; gardzi człowiekiem, lecz jeszcze wielbi urząd. Owszem, im bardziej depce infułata, tym wyżej stawia infułę.

Niestety, lud na tak subtelną dyssekcję pojęć zdobyć się nie umie; dekoracyjna wartość kościoła go nie zadowala; poza dekoracjami obrzędu chciałby ujrzeć człowieka. Nazbyt natrętnie utkwił mu w pamięci jeden z obrazów ewangelji: pobielane groby, zewnątrz powabne, a w środku odrażającej pełne zgnilizny. Chłop jest tak dalece z jednej bryły wyciosany, że wszędzie radby widzieć jednolitość, całkowitość, zgodność. Tak mało zna się na podwójnej buchalterji, że zrozumieć nie może, iż co innego przykazanie, a co innego powinno być życie, i za jednym zamachem chciałby zrównać rachunek etyki z rachunkiem uczynków.

Tę chęć kler postanowił zdruzgotać w zarodzie. Postanowił zdruzgotać ją bezlitośnie i — zagrał w otwarte karty.

Inteligencja uczestniczy w wielu naraz środowiskach ideowych, pracuje na różnych polach, należy do wielu instytucji, podziela różne prądy zbiorowe, znajduje oparcie w szeregu towarzystw. Każdy jej członek należy do pewnego stronnic-

twa, jednocześnie jest wyznawcą pewnej filozofji, prócz tego hołduje pewnym kierunkom estetyki: mając udział w wielu środowiskach czuje się wolnym w każdym; przechodząc przez wszystkie nie przyrasta do żadnego. Jedno broni go przeciwko zachłanności wszystkich, wszystkie strzegą jego wolności przed zaborem jednego.

Inaczej przedstawia się układ stosunków, które oplatają na wsi nasze włościaństwo. Tam— zasadniczą komórką, w której zamyka się żywot chłopa, poza obrębem rodziny, jest parafja. Ta parafja jest dlań środowiskiem jedynym, wyłącznym, bezwzględnym: środowiskiem, które nie znajduje przeciwwagi w niczym i w nikim. Ona zaspakaja wszystkie potrzeby jego ducha: zwraca się on do niej z tym, co ma najszlachetniejszego w duszy. Kościół, będący ośrodkiem parafji, wita go dzwonami w dniu narodzin i opłakuje żałobą w dzień zgonu. Kościół zastępuje mu izbę odczytową i literaturę i sztukę i teatr i dom ludowy i galerję obrazów. Gdy powstanie śród ludu poeta i zaczyna śpiewać, pieśń jego ma w sobie coś z nuty skowronka i z nuty organu. A nie wychodząc poza miedze parafji, i w jej wnętrzu mieszcząc całą ekonomję duszy, chłop wkońcu wrasta w jej tradycję, jak drzewo wrasta w ziemię, jak kamień w dno rzeki. Niepodobna stamtąd podważyć go bez bólu, ruszyć bez kataklizmu.

I o tym kler wie doskonale. Kler drzwi kościoła nie zamknie przed lekarzem, adwokatem lub inżynierem, bo ci do drzwi jego nigdy nie pukają; ich z grona wiernych nie wyłączy, bo o swym wyłączeniu dowiedzieliby się oni dopiero z gazet, aby wiadomość tę wraz z gazetą rzucić po godzinie do kąta. Kler wie, iż księgarze całego świata ubiegają się o wciąganie kosztowniejszych książek na *Indeks*, bo nic nie zapewnia wydawnictwu tak tryumfalnego przyjęcia u inteligencji, jak właśnie wyklęcie przez kościół.

A przytym, między warstwą inteligencji miejskiej a warstwą ludu, jaskrawe przeciwieństwo wyradza się ze znacznej między nimi różnicy w indywidualizmie. Jednostka ukształcona chce być przedewszystkim sobą. Jednostka z ludu chce być członkiem gromady: poczucie swej wartości czerpie ona w znacznym stopniu z zaufania, którym ją obdarzają sąsiedzi. Człowiek światły, może sam jeden stawić czoło najpotężniejszej instytucji, i może jej czoła dotrzymać, bowiem pozornie tylko otacza go samotność: w rzeczywistości wspiera się on o las kolumn niebotycznych: tych kolumn imiona są: Alighieri i Sokrates, Kolumb i Bruno, Kopernik i Galileusz, ci wszyscy, którzy zwyciężali poprzez kajdany i ogień, poprzez truciznę, wygnanie, stos...

Cudowny widok bohaterstwa, na którego czole łamią się pioruny prześladowań, obcy jest oczom chłopa; jego oczy nie zaznały nigdy widoku upokorzonej przemocy; jego oczy zawsze pamiętają że piorun palił i kruszył wszystko, w co uderzał, a nie poszczerbił się nigdy.

I o tym kler także wie doskonale. W oblicza tej, steroryzowanej przez wieki, pamięci chłopa cisnął on swoją klątwę, licząc, że pamięć ta będzie mu sprzymierzeńcem w dziele ucisku, w pracy ujarzmiania tych głów zuchwałych, które nad jarzmo chcą się dźwignąć.

I tu otwiera się najczarniejsza karta dziejów kościoła katolickiego w Polsce. Bo pójdźmy, śladem klątwy biskupiej, w ciemnotę wsi, pójdźmy za śladem którym werżnęła się ona w sumienie chłopskie, i w sumienia tego w głąb biedną i bezradną spójrzmy, jak w oczy ślepca: do jakich to sił, do jakich doświadczeń dziejowych, do jakich strun duszy odwołuje się kościół groźbą

F. Jabłczyński.

SYZYFOWA PRACA.

I

...Byłem wtedy w niełasce. Wygnany z piekieł na ziemię, bezdomny, błądziłem często w pobliżu bramy Hadryana, gdzie stał klasztor niewieści. Aleja z wiązów kończyła się u jego stóp, prowadząc ku miastu.

Byłem okropnie brzydki, w nic pięknego zamienić się nie mogłem. Więc kusiłem.

W klasztorze mieszkało pięć zakonnic. Miały dom, ogród, otoczony murem, i źródło, dostarczające wody.

Najstarsza, siostra Eudoksja, miała lat przeszło ośmdziesiąt. Była córką wieśniaków z Gory- cji, kiedyś jasna jak len bielony, obecnie siwa jak gołąb. Pomarszczona, zdziecinniała. Drzemała ciągle. Trzeba było ją karmić, ubierać, wyprowadzać do ogrodu.

Zajmowała się tym siostra Klemensa, najstarsza z pozostałych. Była to dziewica rosła. Pomimo blisko lat sześćdziesięciu trzymała się prosto, miała twarde, sztywne, szpakowate włosy, mówiła grubym, szorstkim głosem, miała twarz zawiędłą, ciemną, usta zacięte. Za to w oczach czarnych, błyszczących, głęboko osadzonych, błyszczała dobroć. Jako najmocniejsza, spełniała najgrubsze roboty. Rąbała drzewo, nosiła wodę, wywoziła śmiecie.

Przeorysza, siostra Kryspianna, dochodziła już do lat pięćdziesięciu. Średniego wzrostu matrona, o ruchach pełnych godności, oczach niebieskich z dziewiczą płcią przy zupełnie prawie siwych włosach, reprezentowała godnie zgromadzenie tam i wtedy, kiedy tego było potrzeba.

swej klątwy? Z jakich to strun chce dobyć miłą uchu swemu melodję?

Trudno, doprawdy, wystawić sobie jakąś inną kolizję, w której tak jasno, tak buntowniczo stanęłyby sobie do oczu, jak w tej okazji dwie dusze ludu: dusza dawna, pańszczyzniana, pełna popłochu, trwogi i służalstwa, i dusza nowa, zdobywcza, dumna, żądna samodzielności. Do pańszczyźnionej, dawnej duszy chłopa odwołuje się klątwa biskupów, tę dawnę duszę obudzić chce z letargu tam gdzie śpi ona w letargu, chce ją obudzić z grobu tam gdzie zasnęła w grobie. Ta klątwa jest strasznym świadectwem zbrodniczości kleru, bo w duszy chłopa chce ona rozpętać to, co jest w niej najniższe, najmniej ludzkie, co jest bezwstydnie korne, poddańcze, co jest przestrachem zwierza na widok błyjącego gromu. Ta klątwa łoskotem swoim chce zwalić w sumieniu chłopa węgły cywilizacji, i oddać je ponownie na łup dzikim instynktom strachu, niewolnictwa i upodlenia. Budzącą się świadomość życia i samowiedzę ruchu chce zatopić w mroku i pogrzebać w gruzach katastrofy.

Kler nie może łudzić się, aby jego anatema głębszy przewrót wywarła w łonie samych Zaraniarzy: zbyt są oni na to oświeceni, zbyt przetrawieni krytycyzmem. Atoli kler wszelkie miał podstawy rachować na ciemnotę ich otoczenia; i dziś zajmuje nas tylko pytanie, czy istotnie w swych widokach się nie przerachował? Jak wspominaliśmy, kler gra w otwarte karty: nie tai się z tym, że uważa on swą klątwę jedynie za lont, który zapalić ma olbrzymie prochy przesądów i uprzedzeń, zawarte w arsenale ciemnoty wiejskiej, aby wysadzić i zniszczyć nimi nienawistną twierdzę *Zarania*.

— *Biskupie!—więc to Boży Sąd otwarty?*— pyta z gniewem hamowanym i wstrętem król Śmiały w poemacie Wyspiańskiego, gdy mnisi za biskupiej ręki skinieniem, na znak klątwy, ciskali o ziem gromnice. Istotnie, ongi klątwa bywała wyrazem Sądu bożego nad grzesznikiem.

Dziś atoli ta klątwa biskupia, która dotyk czytelników *Zarania* nie jest wezwaniem grzesznika przed sąd Boga, ale stawieniem wyższego typu człowieka przed sądem czerni, przed sądem zabobonu i fanatyzmu. Wyklęcie Zaraniarzy — to chęć oddania zastępu przodowników na urągowisko ciemnemu tłumowi, jego zaciekłości tępej i nienawiści.

Nie czynimy tu zarzutu z wrogich wystąpień przeciwko *Zaraniu* tym ciemnym masom włościaństwa, które kler do owych wystąpień podżega i niekiedy zmusza. Odpuszczamy im z serca, jako i przyszłość im odpuści, albowiem nie wiedzą, zaiste, nie wiedzą co czynią. Ślepi są ci ludzie— jeszcze nie przejrzeli Rękę, która im niesie światło, otuchę, wolność i pokrzepienie, usiłują dziś kąsać i kamienować, ale jutro, jutro, być może będą już ją błogosławić. Natomiast każdy kamień, który z podszeptu duchowieństwa bratnią ręką ciśnięty w bratnie ugodził serce, stokrotnym kiedyś ciężarem zwali się na barki kleru, jako hańba wieczna i przekleństwo pokoleń.

Wyrok w sprawie chełmskiej.

Los Chełmszczyzny został rozstrzygnięty; uchwała Dumy w trzecim czytaniu zadecydowała o nim ostatecznie, gdyż reszta jest już formalnością. Jeżeli ktokolwiek w ciągu bolesnej kampanji, jaka się toczyła w Izbie państwowej, miał choć chwilę złudzeń co do jej wyniku lub też złudzenia to wbrew swemu przekonaniu podtrzymywał, obecnie już niema na nie miejsca. Rada państwa, choć przeciążona nawałem zaległości, ma projekt chełmski rozpatrywać w pierwszym rzędzie i w przyspieszonym tempie, by uniknąć choćby kilku miesięcznej zwłoki. Rezultat jej obrad tak jest z góry wiadomy, że nawet ich treść nie budzi zainteresowania.

Czwarta z kolei siostra Brygida, o kilkanaście lat od przeoryszy młodsza, w wieku lat trzydziestu i kilku, należała do natur surowych, estetycznych, obserwujących skrupulatnie regułę klasztorną. Z pochodzenia włoszka, z twarzą pociągłą, chudawa, nie ładna, nie zajmowała się niczym, prócz modlitwą, postami, rozmyślaniem, czytaniem ksiąg świętych i umartwieniami ciała a zapewne i ducha.

* * *

Wiosna panuje w ogrodzie, owocowe drzewa kwitną biało i różowo. Wszystkie siostry zakonnice są w ogrodzie.

Piąta z kolei, najmłodsza, bardzo młoda jeszcze, Agata stoi w podcieniu wejścia i patrzy na pasmo wzgórz, różowych i dalekich. W biały rąbek ujęta jej twarz młoda, pełna wyrazu, piękna, ma coś nieokreślenie wspólnego z białymi kwiatami wiśni, które śnieżą się wszędzie naokoło, układając w kiście i pęki.

Długi i pusty kurytarz klasztorny. Kamienne flizy, nadwyrężone przez czas, ale umiecione czysto, wykładały podłogę. Na białych ścianach widać stare, zczerniałe freski świętych. Nad nimi krzyżujące się łuki sklepień, biało tynkowanych, gną się monotonnie, powtarzając jeden i ten sam motyw. Na dworze cichy, miły wieczór wiosenny. Przez rzadkie, okratowane okna przegląda czyste, wieczorne niebo oraz gałęzie okrytych kwiatami akacji. W kurytarzu lekki chłód starych murów.

Ukrywałem się chętnie w kwiatach, które rosły tuż pod oknami jej celi. Wieczorami, o zachodzie słońca, wielkie białe akacjowe kiście wydawały woń odurzającą, niby kadzidło drogocenne. Używałem wszystkich sztuk i sposobów, aby ją zwiększyć. I wtedy, w ciasnym wykroju okna, po za kratą, ukazywała się twarz blada, opierała się o zardzewiałe pałąki. I jak ślepy zgasłe źrenice zwraca ku słońcu, tak twarz jej, również zagasła, chłonęła zapach, który zdawał się płynąć z dal kich stron, gdzie rodzą się czarodziejskie bajki.

Rok 1912-ty zapisze się tedy w dziejach naszych jako nowa data żałobna. Była oczywiście nie mała przesada w twierdzeniu, że wyodrębnienie chełmszczyzny jest czwartym rozbiorem Polski. Tkwiła w tym naprzód nieścisłość historyczna: czwartym rozbiorem nazywano w swoim czasie Traktat Wiedeński, który ustalił i określił rozmiary Królestwa Kongresowego w granicach dotąd nienaruszonych. Dziś nie może być mowy o nowym rozbiorze, gdy wszystko już od wieku doszczętnie rozebrano, a wyrażenie to nietylko jest błędem logicznym lecz zarazem szkodliwą sugestją. Wytwarza ono złudę, że w obrębie Królestwa Polskiego jesteśmy istotnie gospodarzami u siebie, a nowa gubernia chełmska, odcięta od całości, zostaje przez to pozbawiona jakichkolwiek dobrodziejstw będących udziałem wielkiej reszty. Niektórzy zwolennicy projektu na podstawie tej fikcji uzasadniali swoje stanowisko — tłumacząc, że wyodrębnienie dokonywa się dla naszego dobra, ono bowiem tylko umożliwi obdarowanie Królestwa Polskiego pełnym samorządem który w swoim czasie pono na użytek gości angielskich w Dumie tłumaczono jako rodzaj polskiego Home rule, gdy nie jest to nawet w dalekiej mierze zbliżone do angielskiego Local-Government. Byli i przeciwnicy, np. von Anrep, którzy w tej fikcji widzieli punkt wyjścia dla swej opozycji. Wszystkie gubernie ich zdaniem — stanowią jedną niepodzielną całość; wszelkie więc wyodrębnianie jednej pozbawione jest znaczenia politycznego a stanowi jedynie zarządzenie administracyjne, takiego rodzaju jak podział jednego powiatu na dwa lub zamienienie osady na miasto. W pewnym punkcie dyskusji wyłoniły się nawet dalsze perspektywy mogące świadczyć, że wyodrębnienie gubernji chełmskiej nie jest epilogiem lecz prologiem szerszej akcji. W redakcji projektu wykreślono historyczną nazwę: Królestwo Polskie, a zastąpiono ją administracyjnym określeniem: general-gubernatorstwo warszawskie.

Równocześnie pojawiła się w prasie wieść o zamierzonym skasowaniu gen. gubernatorstwa warszawskiego. Gdyby się była sprawdziła, kłopotliwym byłoby pytanie, z czego wydzielona ma być Chełmszczyzna? W innym momencie gdy zachodziła kwestja, jaki kodeks ma obowiązywać w nowej gubernji, zostawiono ją do czasu w zawieszeniu, objaśniając, że w dalszych planach jest zatarcie różnic istniejących w tym względzie i ustanowienie jednego kodeksu dla całego cesarstwa. Po wyodrębnieniu Chełmszczyzny, możemy tedy w dalszych fazach reform oczekiwać ponownego zlania się jej z resztą kraju, na nowej podstawie; t. j. przyłączenia całego Królestwa do wydzielonej guberni. Nie wszystko można zrobić naraz — ale wszystko zrobić można, jeśli układ sił decydujących się nie zmieni.

Uchwała w sprawie Chełmszczyzny, choć nie jest czwartym rozbiorem, ma wielkie zasadnicze, a niemałe i praktyczne znaczenie. Zasadniczo jest ona pierwszym naruszeniem granic tej całości, jaka na kongresie wiedeńskim ustanowioną została. Ustrój jej i wewnętrzne położenie licznym podlegały zmianom; kształt zewnętrzny dotąd pozostawał ten sam, co w 1815 roku.

W ciągu stu lat, które przedzielają Kongres wiedeński od uchwały trzeciej Dumy, sprawa nasza z międzynarodowej, stała się sprawą wewnętrzną każdego z państw rozbiorowych. To nam w sposób dosadnie bolesny, stawia przed oczy wyłączenie Chełmszczyzny.

Jakkolwiek ograniczanie naszych praw i zacieśnianie warunków naszego bytu i rozwoju, dokonywa się stale i systematycznie, od lat wielu na całym obszarze ziem podlegających panowaniu Rosji, istnieje pewna kolejność i stopniowanie w stosowaniu tego systemu. W pierwszym rzędzie zostały poddane specjalnym ograniczeniom po 1863 roku zachodnie gubernie i Litwa. Dziś przyszła kolej na Chełmszczyznę. Po skasowaniu granic politycznych, dokonywa się pracowite przesuwanie granicy etnograficznej. Rząd niemiecki robi to samo w Poznańskiem i Zachod-

---

Była to najmłodsza, siostra Agata.

Nie miałem litości ani nad nią, ani nad jej biedną duszą.

Męczyłem ją.

Męczyłem widzeniami dlatego, że przez to stawała się piękniejszą. Niby płomień w rzeźbionej, alabastrowej lampie lub ziarna ambry, rzucone na żarzące się węgle, kuszenia moje rozniecały w niej tęsknoty i nudę, walki i pragnienia, rozpacz i ekstazy, które do nieopisanych subtelności doprowadzały jej rysy wyrzeźbione niby w kamei. Ukryty w pogańskiej głowicy kolumny, która pozostała z dawnej świątyni Demetry, widziałem jak pod zgrzebnym habitem drżało jej młode ciało nawet podczas żarliwej modlitwy, którą usiłowała zagłuszyć moje posiewy. Ale bezskutecznie.

I chodziłem za nią jak cień. Kochałem się. Było to, zapewne, uczucie głupie. Nocami, w wichrze, słyszałem czasami piekielny śmiech moich współbraci — drwili ze mnie. Przywiązywałem ich drwiny psom do ogonów, aby wyły po nocach, sam zaś nurzałem się po uszy w błotach, aby ochłonąć. Miłość moja była beznadziejna. Potrafiłem budzić tęsknoty i pragnienia, które były podobne do otchłani, nie potrafiłem ich zaspokoić. Moja ofiara nie raz leżała krzyżem na zimnych kamieniach świątyni. Jej proste, poczciwe towarzyszki myślały, że rozmawia z Bogiem.

A ona?

Ach, ona! Zimne, kamienne mozajki powinnyby wtedy zapalić się pod nią, stopić jak wosk od jej widzeń płomiennych.

— Modlisz się zawiele — mówiła siostra Kryspianna, patrząc na jej twarz marmurową i czarne, straszliwe oczy, pomimo tego, że starała się przysłaniać rzęsami ich płomień wewnętrzny. Trzeba dbać o zdrowie. Bóg nasz jest bogiem dobrym i łagodnym, wymaga ofiar z ducha, nie z ciała na podobieństwo Baala.

Roześmiałem się wtedy nad uchem przeoryszy tak, że zbladła jak płomień świecy na słońcu. Ja zaś podwajałem przez pewien czas siłę praktyk, ponieważ czułem się bezsilny.

C. D. N.

nich Prusach, i tu i tam przy poparciu większości narodu, złożonej z zupełnie analogicznych grup ideowych. Czy rezultaty będą podobne? to naturalnie zależy od wielu czynników, a wśród tych nasz własny system reagowania na fakty, należy do najważniejszych.

Koło polskie przed trzema laty złożyło deklarację, że stosunek Dumy do narodu polskiego zostanie określony przez rozstrzygnięcie projektu chełmskiego. Poseł Żukowski przed kilku miesiącami oświadczył, iż uchwalenie go zniszczy iluzję by w rosyjskich instytucjach państwowych możliwą była rozumna wymiana myśli o stosunkach polsko-rosyjskich *Głos Warszawski* pisze dziś jeszcze, po uchwale, że usiłowaniem naszych posłów było „ratowanie, choćby w skromnym zakresie elementu prawnego w stosunkach między narodem polskim a państwem rosyjskim", wytworzenie warunków, w których możliwym jest jaki taki bieg życia kulturalnego i rozwój pracy twórczej.

Po co te wszystkie omówienia, niedomówienia, których ani swoi, ani obcy poważnie brać nie mogą? Stosunek Dumy do narodu polskiego zaznaczał się przy wielu okazjach tak dosadnie, posłowie polscy tak mało mieli co do niego istotnych złudzeń, że nie ośmielali się ust otwierać w kwestjach najbardziej palących — jak np. zamknięcie „Macierzy", lub szkół polskich, wiedząc, że to się na nic nie zda.

Iluzji — o jakich p. Żukowski wspominał, nie było — choć ze sfer najbliższych posłom polskim wysilano się na to, by je sztucznie rozbudzać, a usiłowanie wytworzenia warunków, o jakich mówi *Głos Warszawski* — było zbyt oczywiście jednostronne, aby można uważać je za coś innego niż „stracone zachody miłości".

Posłowie polscy w Dumie i komisjach przeszli istną drogę krzyżową. Uzbroili się w bogaty arsenał argumentów statystycznych, geograficznych, historycznych, prawnych, etnograficznych — a wszystkie odpadały jak groch od ściany. Targowali się w pocie czoła o każdy powiat, każdą gminę, schodząc do drobiazgów znikomo małych w stosunku do wielkości kwestji zasadniczej. Mieli sposobność przekonać opinję polską, jak dalece to wszystko jest daremne, beznadziejne i bezcelowe. Nie była to przecież rzeczywista walka, lecz mozolna, bolesna, upokarzająca procedura, zastosowana do sprawy z góry przesądzonej.

Dziś pozostaje nam tylko jedno: wysnuć należyte konsekwencje ze zdobytego doświadczenia. Stanowczy rozbrat wziąć trzeba z fabrykacją iluzji, całkowicie zrzec się kolportowania mądrości politycznej na obce rynki, gdyż te jej od nas nie przyjmują, a natomiast bardzo ściśle i sumiennie budzić i rozjaśniać myśl polityczną w kraju. Ratowanie fikcji jest zawsze zgubne, cynizm się z nią nie liczy, prostoduszna naiwność przez nią się wykoleja. Nie stać nas na bezcelowe trwonienie sił

J. Tarczewski.

Irlandja w przededniu autonomji.

Zaledwie zdążyła Anglja ochłonąć z transów olbrzymiego strejku, gdy oto wkracza w nową serję wydarzeń: *Home Rule Bill* wniesiono już do Izby Gmin i nad projektem rządowym burzliwe toczą się rozprawy. Nie po raz pierwszy próbuje parlament brytański naprawić stosunek Anglji do nieszczęsnej Szmaragdowej wyspy. Dwukrotnie silił się dokonać tego dzieła wielki Gladstone i dwukrotnie padał pod nadmiernym ciężarem sprawy, która miała dar szczególny rozpętywania najdzikszych instynktów w tym kulturalnym i rozumnym narodzie.

Dzisiejszego premjera, mimo wielkich zalet umysłu i charakteru, nie można stawiać w jednym rzędzie z Gladstonem, ale wolno przypuszczać, że p. Asquith, w daleko lepszych będąc warunkach, dopnie nareszcie celu i oswobodzi Anglję od haniebnej, niszczącej zmory, która nad nią wisi od czasu t. zw. Unji, podstępnie narzuconej mieszkańcom Erynu w kilka lat po dokonaniu na wschodzie Europy ostatniego z trzech aktów rozbioru Polski.

W życiu narodów zło, jak i dobro, miewa swe źródła i tradycje; angielską tradycją zła — mawiał Gladstone — jest kwestja irlandzka. Składa się na nią obficie wszechstronny zasób krzywd i nieprawości, gdzie naraz grają rolę różne czynniki społecznej, rasowej, religijnej i politycznej natury. Możnaby rzec, że wiekowy ucisk, stosowany przez współziomków Gladstone'a po tamtej stronie kanału św. Jerzego — wyczerpuje miarę wszelkich cierpień, upośledzeń i rygorów, jakich mógł doznać kiedykolwiek naród podbity i zniewolony; jedną miał wszakże nieszczęsny Eryn przewagę nad krajami, w podobnych żyjącymi warunkach — oto najeźdnik i ciemiężyciel wysoką, o wiele wyższą od celtyckiej, posiadał kulturę i duch irlandzki, mimo najsroższego ucisku, nie przestawał rozwijać się, kształcić, potężnieć na urodzajnej glebie państwowości i kultury brytańskiej; nadeszła wreszcie chwila, kiedy sprawa autonomji politycznej Erynu stanęła samorzutnie na porządku dziennym, jako nieodzowny, logiczny wyraz dobrze zrozumianych potrzeb Zjednoczonego Królestwa; to też czysto polityczny motyw interesów państwowych równie doniosłą gra rolę w projekcie p. Asquitha, jak i czysto moralny motyw sprawiedliwości i swobody.

— Duch Gladstone'a ukazał się w Izbie Gmin — mówili starzy torysi w czasie pierwszego czytania *Home Rule Bill'u*. Zaszczytne to dla niego świadectwo. Istotnie, p. Asquith sięgnął po gladstonowy pierwowzór, projekt rządowy nadaje wyspie parlament złożony z dwuch Izb, z których jedna — niższa — liczyć ma 164 członków obieralnych, zaś drugą — Senat 40 mianowanych parów. W razie scysji tych dwuch Izb rozstrzyga wspólne głosowanie.

Władza wykonawcza spoczywa w ręku Lorda-Namiestnika i rady ministrów, odpowiedzialnych przed parlamentem. Kompetencja tego ostatniego obejmuje wszelkie sprawy, tyczące Irlandji, z wyjątkiem: praw i prerogatyw Korony, polityki zewnętrznej, spraw policyjnych i pożyczek państwowych, zaciągniętych przed 1912 rokiem.

Taki jest w zarysie *Home Rule Bill*. Oczywiście, napadła nań z furją cała opozycja zachowawcza, zwana unionistyczną, z pp. Balfourem i Bonar Law'em na czele. Natomiast blok postępowy wespół z irlandzkimi posłami zgotował mu entuzjastyczne przyjęcie. W pierwszym czytaniu przeszedł *bill* większością 100 głosów, i wątpić można, czy Lordowie, po świeżej porażce, ośmielą się stanąć wpoprzek temu doniosłemu dziełu

Uwieńczy więc ono imponującą budowę brytańskiego imperjum w myśl idei federalizmu, która — nikogo nie krzywdząc i nie deprawując — łączy w jedną potężną całość wszystkie kraje Korony stokroć skuteczniej i trwalej, niż przemoc zbrojna

i rygor centralistyczny, praktykowany na wschodzie Europy. Nie dość na tym: po załatwieniu się z tą sprawą zamierza p. Asquith nadać podobne instytucje krajowe Szkocji i Walji — co wślad za budową nowej republiki związkowej na południu Afryki i serją reform indyjskich bieżącego roku — świadczy dowodnie, że genjusz anglo-saski rozstrzygnął sprawę współżycia narodów na rzecz autonomji i federalizmu.

* * *

Opinja polska powita wyzwoloną Irlandję z uczuciem szczerej życzliwości — z wyjątkiem, być może, tych dogmatyków, którym nie wsmak tryumf „pryncypiów" liberalnych. Irlandja — toć długoletni nasz *socius doloris*! kres niedaleki jej cierpień winien być dla nas otuchą.

Obok świetnego odrodzenia narodowego Czech, cały przebieg sprawy irlandzkiej świadczy wymownie, że niemasz na ziemi takiej potęgi, która byłaby w stanie uśmiercić naród żywotny i czynny.

Pomiędzy Irlandją a Polską zachodzi szereg podobieństw rażących: oba te kraje, dla przyczyn prawie identycznych, dzielą między sobą rekord krzywd i cierpień doznanych. Miała Irlandja swój Sejm, miała swą Targowicę miała i swoich Kościuszków i Rejtanów. Okoliczności, w jakich zawarto haniebną, *quasi*-dobrowolną Unję w r. 1800-ym, przypominają żywo rozkład i korupcję ostatnich lat Rzpltej. Gladstone wyraził się o tym akcie w słowach pełnych goryczy: „Niema w dziejach sprawy równie haniebnej i mrocznej jak zawarcie Unji między Irlandją i Anglją". Unionista, lord Rosebery, zmuszony jest wyznać to samo w swojej biografji Pitta, gdzie pisze: „Nie sposób wziąć do rąk jakiegobądź współczesnego listu wice-królów lub sekretarzy stanu do spraw Irlandji, by nie natrafić na ceny kupna wpływowych irlandzkich działaczy, lub cyniczne oferty szlachty". Prof. Dicey pisał w *Forthnightly Review*: „Gdyby akt Unji znalazł się przed pierwszym lepszym trybunałem, byłby nieodwołalnie skasowany, jako układ, splamiony widocznym fałszem i przekupstwem".

A oto bezpośrednie skutki dzieła, które już w r. 1806 piętnował Fox, jako „okropne w zasadzie, wstrętne w sposobach wykonania, najohydniejsze ze wszystkich, jakie rząd nasz kiedykolwiek przedsiębrał".

Ponieważ Irlandja, jedyny na wyspach brytańskich wyjątek, pozostała wierną papieżowi w dobie największych sukcesów Reformacji, przeto furja przezbiterjanów szkockich szła na czele najazdu, największe czyniąc spustoszenia. Katolicyzm był prawnie zakazany, księży tolerowano zaledwie, religją uprzywilijowaną, państwową był anglikanizm. Katolik nie miał dostępu do żadnych urzędów, począwszy od sędziowskich, kończąc na posadach stróżów miejskich.

Cała powierzchnia wyspy znalazła się w rękach lordów angielskich, którzy jednym skinieniem palca mogli wyrzucić chłopa z nędznej lepianki, gdzie żył na paru zagonach kartofli, jako niepewny jutra czynszownik... Ludność tubylcza spadła na dno nędzy; głód dziesiątkował ją do tego stopnia, że z 8 miljonów głów w r. 1830 spadła do 4 w końcu stulecia, z czego miljon odliczyć trzeba na rzecz kolonistów angielskich i szkockich z prowincji Ulster i Belfastu, gdzie tworzą zwarte, cieszące się olbrzymimi przywilejami bractwo nakształt chełmskich bractw prawosławnych lub związków „kultur traegerów" łódzkich. Ulster oponował zajadle — jeszcze za Gladstone'a — przeciwko idei autonomji, nie cofając się przed groźbą zbrojnego powstania; jakoż *Home Rule Bill* zawiera stosowne rękojmie, wyjmując Ulster z pod kompetencji parlamentu w Dublinie: ma więc i dzisiejsza Irlandja swoją „Chełmszczyznę"...

Ludność irlandzka żyła w straszliwym zaniedbaniu, pozbawiona szkół, szpitali, bez organizacji, bez kultury, bez samowiedzy nawet, bo język miejscowy celtycki powszechnie został zarzucony i zapomniany przez najlepszych nawet patrjotów; w tych nieprzebitych mrokach panował wszechwładnie nad ciżbą chłopską ciemny, częstokroć dziki, zawsze fanatyczny ksiądz katolicki, którym każdy Anglik pogardzał, jako czynnikiem ciemnoty i przesądu tudzież ajentem znienawidzonego Rzymu. Łatwo pojąć, że ten stan rzeczy pogłębiał przepaść niechęci i utrudniał wszelką ugodę; to też bardzo skutecznym ze strony unionistów atutem było czas długi twierdzenie, że *Home Rule* będzie w rzeczywistości *Rome Rule* t. j. autonomją rzymską na ziemi brytańskiej... Sprawa zmieniła się na lepsze, kiedy Parnell, stwarzając irlandzką partję narodową, postawił wreszcie świecką ideę samowiedzy zbiorowej na miejsce rozgraniczeń i zatargów religijnych. Było to bodaj największą, istotną jego zasługą.

Odtąd emancypacja Erynu postępuje zwolna, lecz stale: kamienne rygory opłakanej Unji kruszą się i odpadają po trochu pod ciosami irlandzkich szermierzy, którzy zdążyli wyczerpać całą skalę środków od ugody z liberalizmem Canninga, Peela, Gladstona — do systemów obstrukcji, bojkotu i terroru... Zmieniały się też odpowiednio i programy stronnictw irlandzkich — od powstania zbrojnego i wojny religijnej do sojuszów z partjami w Westminsterze i rokowań z całym szeregiem ministrów.

Wreszcie stanęli Irlandczycy mocno na gruncie *Home Rulu* i z tej placówki nie zejdą, dopóki demokracja angielska, skruszywszy zajadły opór nacjonalizmu i religijnego sekciarstwa, nie zburzy do cna haniebnej Unji, naprawiając w ten sposób krzywdę, jaką naród angielski wyrządził sam sobie w myśl formuły Sydney'a Smith'a: Jeśli zjednamy sobie Irlandję — nie zdarzy nam się nic złego, jeśli zaś nie — to nic dobrego.

L. Gorecki.

Listy z Galicji.

VII.

Proces Banku parcelacyjnego. Sprawa uniwersytetu ruskiego. Ogólna sytuacja w kraju.

Proces banku parcelacyjnego we Lwowie jest w pełnym toku. Już jednak, z dotychczasowego jego przebiegu, można sobie przedstawić dokładnie pojęcie o przyczynach upadku tej instytucji, i o zarzutach robionych jej kierownikom.

W sprawie banku parcelacyjnego zamieściłem już w *Prawdzie* dwa artykuły, w których, wbrew opinji przeważającej w Galicji, wykazywałem, że w instytucji tej nie było żadnych nadużyć, i że upadek jej był wynikiem nieszczęśliwego zbiegu okoliczności, oraz akcji narodowej demokracji zwalczającej ją ze względów partyjnych i konkurencyjnych (nar. dem. ma bank w Łańcucie). Pogląd powyższy znalazł potwierdzenie podczas obecnego sądu. Najpoważniejsi znawcy spraw ekonomiczno-handlowych i finansowych w Galicji, stojący na czele znanych instytucji, w zeznaniach

swoich, wyrażali się naogół pochlebnie o banku parcelacyjnym, i niemogli dopatrzyć się w jego operacjach żadnych nadużyć, co oczywiście nie wyklucza pewnych omyłek które mogła popełnić dyrekcja, czy to przy nabywaniu majątków, czy też przy innych interesach.

Zeznania oskarżonych i świadków uwidoczniły też fakt ciekawy: oto wybitni narodowi demokraci, uważający za „przestępstwo" parcelowanie majątków ziemskich pomiędzy włościan rusińskich, sami sprzedawali im swoją ziemię. Zrobili to bezpośrednio pan Rozwadowski Jan z majątkami żony, i pośrednio p. Jan Gwalbert Pawlikowski z majątkiem własnym; nie chciał on odprzedać ziemi bankowi parcelacyjnemu, przekładając przeprowadzenie tej operacji z nieznanymi osobistościami, będącymi pośrednikami.

Okazało się wreszcie że znany awanturnik polityczny p. Grabski inspirował oskarżenie przeciwko bankowi parcelacyjnemu, i wyzyskiwał każdą okoliczność, celem psucia operacji tej instytucji. Narodowa demokracja wolała aby bank upadł i naraził na liczne koszty włościan, niżby miał prosperować w ręku ludowców.

Błędnymi też okazały się insynuacje przeciwko p. Stapińskiemu, który miał niby ciągnąć pośrednio „wielkie zyski z banku". Okazało się też że obecny minister Długosz, z własnej kieszeni zwrócił bankowi to co płacił on w ciągu lat *Przyjacielowi ludu* za ogłoszenia

Proces uwidocznił też jedną smutną okoliczność, mianowicie brak odporności społeczeństwa i wybitnych jego jednostek przeciwko demamogji narodowo demokratycznej. Tak np. dyrektor banku krajowego p. Alfred Zgórski człowiek poważny, który sam nie widział nic nagannego w czynnościach parcelacyjnych, pod wpływem obawy narażenia się opinji urobionej przez wszechpolaków bał się jawnie widywać z dyrektorami banku parcelacyjnego, i porozumiewał się z nimi przez osobę trzecią.

Proces ten raz jeszcze uwidocznił demagogję narodowo demokratyczną i jej szkodliwość. Ludowcy wyjdą z tego procesu czyści.

W Wiedniu omawiana jest obecnie sprawa uniwersytetu rusińskiego w Galicji. Rusini domagają się, aby był we Lwowie, natomiast większość opinji członków Koła Polskiego pragnęłaby go widzieć w Kołomyi. Rada miasta Lwowa oświadczyła się jednogłośnie przeciwko powstaniu uniwersytetu rusińskiego w stolicy kraju. Sprawa ta rozpatrywana jest przeważnie z czysto politycznego punktu widzenia, przez obie strony z dużą dozą stronniczości i uprzedzeń. Polacy wychodzą z tego założenia, że Lwów od wieków ma przeważnie polski charakter, że obecnie Rusini w tym mieście stanowią zaledwie 20% ludności, podczas gdy Polaków jest 52% (jest to statystyka wyznaniowa dokładniejsza od językowej nieuwzględniającej żydów), że więc aby utrzymać dotychczasowy charakter stolicy kraju należy sprzeciwić się założeniu w niej uniwersytetu rusińskiego. Do tego argumentu dodają jeszcze inny, mianowicie, że znaczne skupienie się młodzieży rusińskiej we Lwowie spowoduje częste zatargi z młodzieżą polską o korzystanie, choćby tylko chwilowe ze wspólnych instytucji (bibljotek, laboratorjów i t. p.)

Argumenty te są zbyt silne.

Zrozumiałym jest zupełnie, że Polacy pragną aby Lwów, w którym istotnie od bardzo dawna ludność polska stanowi znaczną większość, i nadal posiadał dotychczasowy swój charakter. Chodzi jednak o to czy: 1) założenie w nim uniwersytetu rusińskiego zmieni go istotnie i spowoduje różne niedogodności dla Polaków; 1) czy ognisko nauki rusińskiej założone w innym mieście galicyjskim będzie celowe, i czy da tym dla których powstanie to co dać powinno?

Co do pierwszego z powyższych pytań, to zauważyć należy, że powstanie projektowanej instytucji we Lwowie nie może stanowczo zmienić jego dotychczasowego charakteru. Początkowo w uniwersytecie rusińskim byłoby w najlepszym razie przeszło 1000 uczących się, dodawszy do tego profesorów, administrację otrzymamy liczbę może 1100 osób.

Liczba ta mogłaby wzrastać wolno po latach 15 albo 20 podnosiła by się, co wobec naturalnego przyrostu ludności nie miałoby znaczenia. Co do kłótni pomiędzy młodzieżą polską a rusińską to, gdyby istniał odrębny uniwersytet dla Rusinów, byłyby one albo zupełnie wykluczone (gdyż wówczas zagwarantowanoby czysto polski charakter obecnego uniwersytetu), albo bardzo rzadkie. Młodzież rusińska mogłaby korzystać czas jakiś z instytucji polskich (bibljotek, laboratorjów i t. p.), co niemogłoby zmienić tego faktu że instytucje te byłyby polskie. Z czasem powstałyby analogiczne instytucje rusińskie.

Istnienie dwu wyższych ognisk wiedzy we Lwowie przeznaczonych dla młodzieży dwu narodów miałoby natomiast dobrą stronę że zbliżyłoby Polaków i Rusinów na gruncie naukowo-kulturalnym, tymbardziej, że każda ze stron miałaby to co jej potrzeba. Przyszły charakter Lwowa zależy od innych czynników niż uniwersytet: od rozwoju przemysłu, biurokracji, instytucji gospodarczych polskich i rusińskich i t. p. Rusini domagając się uniwersytetu we Lwowie mają przeważnie na widoku również względy praktyczne. Chodzi im o to, aby odzyskać napowrót to miasto.

Dążność ta, psychologicznie zrozumiała, nie opiera się jednak na realnych podstawach. Fakt, że Lwów zanim dostał się w ręce polskie, był grodem kniaziów halickich nie może decydować o charakterze tego miasta dziś i w przyszłości; tak jest, ten fakt, że Wrocław był kiedyś miastem polskim nie rozstrzyga jego charakteru w dobie obecnej. Lwów jest dziś niezawodnie miastem polskim przeważnie i gdyby nawet urzędnicy nie byli Polakami, to i wówczas jeszcze ludność polska stanowiłaby jego większość. Powiat lwowski (na podstawie statystyki wyznaniowej) posiada ludności polskiej 45,4 proc., rusińskiej 43,8 proc., żydowskiej 8,7 proc., innej 2,1 proc. Tak więc, nawet wraz z najbliższym swym otoczeniem Lwów posiada większość polską, tymbardziej, że część żydów, choć może nieznaczna, uległa już polonizacji.

Usiłowania więc Rusinów zdobycia Lwowa koniecznie dla siebie nie są dziś realne, ani nawet słuszne. Założenie uniwersytetu we Lwowie nie byłoby jego zdobyciem. Z punktu widzenia czysto politycznego w interesie samych Rusinów byłoby stworzenie dziś już własnego centru narodowo-kulturalnego. Nawet przy bardzo sprzyjających dla Rusinów okolicznościach zdobycie Lwowa, o ile wogóle by nastąpiło, wymagałoby długich dziesięcioleci, a może nawet paru wieków; natomiast stworzenie własnego ogniska kultury narodowej w innym mieście galicyjskim, przy umiejętnej z ich strony polityce, w której założenie własnego uniwersytetu odgrywałoby dużą rolę, nie wymagałoby zbyt dużo czasu i trudu i posiadałoby ogromną doniosłość narodową.

Tak więc, względy czysto polityczne mogłyby

Rusinów, realnie patrzących na rzeczy, skłonić do założenia uniwersytetu w innym niż Lwów mieście.

Chodzi jednak teraz o to, czy obecnie powstanie wyższej uczelni rusińskiej poza Lwowem byłoby dla Rusinów możliwe i korzystne?

Otóż na wstępie zauważyć należy, że względy czysto praktyczne przemawiają dziś przynajmniej za Lwowem istotnie: 1) chociaż procentowo jest Rusinów, w stolicy kraju, stosunkowo niezbyt dużo, to jednak absolutnie jest ich tam najwięcej; 2) młodzież rusińska w olbrzymiej swojej większości uboga, chcąc się kształcić, musi zarazem pracować na siebie, otóż pracę taką może znaleźć tylko we Lwowie; 3) niepodobna myśleć o tym, aby dziś już państwo, przy smutnym stanie swoich finansów, mogło założyć nietylko uniwersytet rusiński, lecz jeszcze oddzielną bibljotekę, laboratorja i t. p.

Odwlekanie zaś sprawy powstania wyższej uczelni rusińskiej z konieczności prowadzić musi do zaostrzenia się walki narodowościowej, do tworzenia nowych katedr rusińskich na uniwersytecie lwowskim.

Tak więc, upieramy się przy tym, aby uniwersytet rusiński był nie we Lwowie, równa się faktycznie zaprzepaszczeniu całej sprawy.

Żywioły postępowe w Radzie miejskiej we Lwowie dały się wziąć na kawał narodowej demokracji, głosując jednomyślnie przeciwko założeniu wyższej uczelni rusińskiej we Lwowie. Jeżeli jednak były przekonane o szkodliwości jej dla „interesów polskich", to winny były przynajmniej wpłynąć na to, aby uchwała ta uznała za potrzebne założenie uniwersytetu rusińskiego gdzieindziej w Galicji.

Przesadny pośpiech nie był potrzebny, gdyż ani Koło polskie, ani rząd sprawy tej nie załatwią tak prędko.

Marszałek Badeni ustępuje stanowczo ze swojego stanowiska. Być może, że stan jego zdrowia odgrywa tu rolę poważną, zapewne jednak i złe widoki co do ugody polsko-ruskiej i reformy wyborczej skłaniają go do tego. Nie chce on być kierownikiem sejmu podczas nowej obstrukcji i nowego zwlekania Polaków z ustępstwami w stosunku do Rusinów.

Sytuacja w kraju jest ciężka. Z jednej strony demagogja narodowej demokracji i podolaków, z drugiej obawa walki z tą demagogją demokratów i konserwatystów krakowskich, utrudniają wyjście z tej ciężkiej sytuacji.

W polemice, dotyczącej sprawy uniwersytetu rusińskiego wszechpolacy wysunęli argument, że Rosja sprzeciwiać się będzie powstaniu tej instytucji, o ile zakrojoną będzie na szeroką skalę. Wogóle tutejsi narodowi demokraci coraz bardziej skłaniają się ku poglądowi, że należy być z Rosją w dobrych stosunkach. Natomiast coraz pesymistyczniej patrzą na Austrję. *Słowo Polskie* niedawno zażądało rewizji dotychczasowych poglądów na stosunki Polaków do Austrji. P. Balicki w *Przeglądzie Narodowym* znowu w imieniu społeczeństwa polskiego zwalcza różne pomysły austryjackie, mogące z jego punktu widzenia, szkodzić Rosji. P. Dmowski niedawno w organie swoim ubolewał z powodu „przesadnego" lojalizmu Polaków w Austrji wobec korony, sam jednak uprawiał lojalizm wobec październikowców.

Manewry te narodowej demokracji są charakterystyczne. Sfery petersburskie przyjmą je niezawodnie z niedowierzaniem. Ta sama prasa narodowo-demokratyczna, która radzi nie drażnić Rosji, oczernia naród rosyjski, nie widząc w nim żadnych zgoła czynników dodatnich, lekceważąc zupełnie naukę i literaturę rosyjską.

Ludwik Kulczycki.

Jerzy Sorel wobec materjalizmu dziejowego.

(Ciąg dalszy).

Z bezwzględną wzgardą stale mówi Sorel o kulturze i umysłowości współczesnych uniwersytetów. Umysłowość ta, jego zdaniem, jest tak płytka, a siew jej tak zgubny, że, na dobrą sprawę, należałoby zburzyć wszystko co na drodze nauczania powszechnego zrobiono w ciągu ostatnich lat trzydziestu, i nową pracę rozpocząć na innych podstawach. Sam o sobie twierdzi on, że 15 lat zmarnował w swym życiu na przyswojenie sobie wiedzy uniwersyteckiej, a potym drugie 15, aby się od niej uwolnić. Lady Mackbet nie zmywała tak zaciekle śladów krwi z rąk swoich, jak on z mózgu swego — zmywa ślady kultury mieszczańskiej.

Niemiłosierne jego słowa spadają jak cięcia gilotyny na głowy najbardziej wielbionych mistrzów kultury współczesnej. Rzekłbyś: dziką nieokiełznaną radość znajduje Sorel w druzgotaniu posągów, które *alma mater* na piedestałach sławy postawiła ku czci wszechpokoleń. Aby nie gubić się w przykładach, przytoczymy, że w słynnej *Modlitwie na Akropolu* Renana, poczytywanej za jeden ze szczytów genjuszu francuskiego, Sorel nie znajduje nic prócz „galimatjasu", zaś Marka Aureljusza, boskiego Marka Aureljusza, w którym tradycja filozoficzna uczciła doskonały wzór mędrca i przewodnika ludzkości, nazywa biednym próżnym człeczyną, słabym, pełnym zabobonów, okrutnikiem, spiskującym przeciwko dobru powszechnemu; ani jeden szczegół nie pozostał z wizerunku tego cezara, namalowanego tak świetnie przez Renana, a i sam Renan, przed sądem Sorela, z uczonego zmienia się w lubieżnego epikurejczyka, który nie rozumiał nic z natury chrześcijaństwa.

Nie trzeba dowodzić, ile w tych wyrazach jest przesady, błędów i niesłuszności. Chodzi raczej o wykazanie, ile jest w nich — prawdy, jaka cząsteczka - słuszności.

Nienawiść Sorela przeciwko duchowi nauki uniwersyteckiej sięga o wiele dalej poza sam uniwersytet i uderza, właściwie, w podstawy wszelkiej systematyki. Według Sorela, system każdy, już dlatego, że jest pomyślany spójnie i harmonijnie, bywa zawsze bezpłodny. Licznymi przykładami popiera on twierdzenie, że systemy filozoficzne, zalecające się jednolitością budowy i skończonością kształtu, największą stawały się zaporą na drodze myśli, nic ze swej strony nie przynosząc nowego i twórczego. Po części, możemy się z tym zgodzić: taki np. Platonizm, lub Materjalizm w konsekwencjach dogmatycznych prowadziły do wyjałowienia; wszelako jałowość ich tkwiła nie w tym, że były one dobrze i harmonijnie zbudowane, ale w błędnym założeniu podstaw.

Wartość wszelkiej filozofji zasadza Sorel na zapładnianiu hypotez, na siewie nowych pomysłów: uważa ją za środek budzenia wynalazczości, sprzyjania odkryciom, potęgowania przedsiębiorczości umysłowej. Inwencja, wytwórczość w dzie-

dzinie idei, oto co jedynie ma znaczenie dla Sorela, a czego w uniwersytetach dzisiejszych przeważnie nie znajduje.

Jeśli dotrzemy do samego dna tej niechęci, którą żywi Sorel dla „intelektualizmu", reprezentowanego przez filozofję uniwersytecką, napotkamy tam szereg motywów, które być może będą dla nas nie mniej ciekawe od wyniku, który powodują. Umysł przesiąknięty kulturą uniwersytecką, czy to profesor wysokiej rangi, czy bakałarz w szkole początkowej, jest, wedle określenia Sorela, „umysłowcem", a więc idealistą, racjonalistą, a co za tym idzie demokratą, o ile, co gorsza, nie bywa ponadto sceptykiem, goniącym za chwilową uciechą; tego rodzaju umysłowość przypada w udziale adwokatom, politykom, kupcom i wogóle osobnikom żyjącym z pośrednictwa. Jeden z uczni Sorela E. Berth kładzie osobliwy nacisk na duchowe pokrewieństwo nadmienionych wyżej kategorji, w szeregu prac, w których idee Marksa, Proudhona i Nietzschego zaszczepione na pniu Sorela, splatają się w bujną i śmiałą koronę, nie pozbawioną mocy i piękna.

Jakaż ich jest wina wspólna? jaki jest grzech pierworodny intelektualizmu? Oto, odpowiada Sorel, umysłowcy wszyscy są pasorzytami; ich zajęcie—to handel artykułami, spożywczymi—lub literackimi. Wymiana myśli lub wymiana wiktuałów: to treść ich zawodu. Działalność ich dotyka tylko wierzchniej warstwy ducha, tej, która bierze udział w popularyzacji, w rozpowszechnianiu rzeczy i myśli. Operują oni jedynie w świecie pojęć stałych, raz na zawsze ograniczonych, wtłoczonych w formy językowe i matematyczne, puszczając je w obieg z rąk do rąk, ruchem automatycznym, bez udziału głębszych, twórczych elementów ducha. Wytwórcy, natomiast, święci, bohaterowie, prawdziwi artyści i rzetelni myśliciele, działają intuicją, twórstwem, inwencją, pracują w najgłębszych pokładach ducha, mocą sił wnętrznych, niepodobnych do wyrażenia w mowie a przeto niedostępnych rozumowaniu dyskursywnemu.

Intelektualistycznej koncepcji świata przeciwstawia się Sorel z całą swą „Nową Szkołą", dwojako: z jednej strony, pragnie on światu robotniczemu objawić jego wartość rzeczywistą, prześwietlić i rozniecić jego klasową świadomość, miast opieki nad nim, zapewnić mu środki do walki oraz zostawić wolne pole do ich użycia; z drugiej strony, chce on „rozwiać urok kultury mieszczańskiej", wykazując, że „wiedza umiejętna której owoce z takim przeświadczeniem chwali burżuazja, nie jest tak bezwzględnie pewna, jak utrzymują ci, którzy z niej ciągną zyski".

Dwoistości życia odpowiada dwoistość ideologji: gdy z jednej strony z gleby pasorzytnictwa wyrasta intelektualizm, z drugiej strony — z gleby pracy wyrasta filozofja wytwórczości. Tą filozofją wytwórczości mianuje Sorel właśnie materjalizm dziejowy, czyli doktrynę Marksa, uwolnioną od nalotów późniejszej egzegezy.

Pod piórem atoli nieskończonego szeregu egzegetów, *materjalizm dziejowy* nabrał tak wieloróżnego znaczenia, że przedewszystkiem musimy, wślad za Sorelem, ustalić terminologję. Niepodobna tutaj bawić się w długie komentarze, niemniej wszakże wskazać wypada, na czym polega nowość i płodność zajętego przez Sorela stanowiska.

(D. n.) *St. Romanowski.*

Klątwy kościelne w dziejach Polski.

III.

Współczesnik Łyszczyńskiego, wielki hetman litewski, Kazimierz Sapieha, był również ekskomunikowany za to, że z dóbr duchownych żywność dla wojska wybierał, a to nie przeszkodziło mu w dalszym ciągu swój wysoki urząd piastować. Działo się to w 1693 roku, t. j. w epoce najbujniejszego rozkwitu reakcji katolickiej. Owa zacofana, przez Jezuitów opanowana Polska bywała jeszcze i wtedy przedmiotem zgorszenia dla wysłańców Rzymu. Nuncjusz Cantelmi ze łzami błagał duchowieństwo polskie, by stało w obronie swych praw i nie pozwalało sprawy ateisty Łyszczyńskiego rozpatrywać i rozstrzygać przez świecki sąd sejmowy. Ze swej strony zwołani przez nuncjusza biskupi i prałaci nie wszyscy chętnie stawili się na jego wezwanie, trzymali się bowiem zasady, że tylko prymas lub w jego zastępstwie biskup płocki ma prawo zwoływać polski episkopat. Nie uzyskał Cantelmi nawet protestu duchowieństwa przeciw ujęciu sprawy w ręce świeckie, nie wymógł na nim, by domagało się użycia w śledztwie tortur, nieodzownego i tradycyjnego środka w duchownych procesach na Zachodzie. Polscy biskupi, jak wnosić można, byli nawet radzi, ze złożą ze siebie odpowiedzialność za stracenie szlachcica i nie narażą się ogółowi szlachty, zazdrosnej o swe przywileje i tak już oburzonej na biskupa Brzostowskiego za pojmanie i uwięzienie Łyszczyńskiego przed wyrokiem, wbrew prawu „habeas corpus." Torturowanie szlachcica byłoby przepełniło miarę i całą opinję zwróciło przeciw duchowieństwu. Była to gra niebezpieczna i Cantelmi musiał się zrzec nadziei przeszczepiania na grunt polski tego kwiatka kultury Zachodu.

Oczywiście, z gorzej urodzonymi przestępcami mniej robiono ceremonji a procesy ich nie miały tak wielkiego rozgłosu. Czarownice płonęły na stosach, choć i te wypadki znacznie mniej liczne były u nas, niż w Niemczech naprzykład.

Prześladowanie dysydentów, które tyle nieszczęść na kraj ściągnęło, wywołując interwencję sąsiednich mocarstw, było niewątpliwie jednym z powodów upadku kraju, lecz i w tych smutnych kartach dziejów występuje rys, na który, sądzę, za mało dotąd zwracano uwagi. Państwa, które w tych razach wkraczały w wewnętrzne sprawy Polski, broniły swych współwyznawców, lecz bynajmniej nie zasady wolności sumienia, gdyż wzbraniały się stosować ją do katolików u siebie.

W drugiej połowie ośmnastego wieku wpływ prądów nacjonalistycznych bardzo silnie w Polsce podziałał na umysły w duchu coraz większej tolerancji. Spotykamy wtedy na wysokich i wpływowych stanowiskach ludzi bardzo wolnomyślnych, pozostających w jawnej rozterce z Kościołem a mimo to ogólnym otoczonych szacunkiem. Znajdowali się oni nawet w szeregach samego duchowieństwa; tam może byli najliczniejsi. Do nich należał Stanisław Staszyc, którego nazwisko wypisały na swym sztandarze kółka dzisiejszych *Zaranlarzy*.

W wieku Oświecenia, zwłaszcza w dobie rewolucji francuskiej i w epoce Napoleońskiej, gdy Kościół tak ciężkie przeżywał chwile i tak

realne a dotkliwe odbierał ciosy, o klątwie nie mogło być mowy.

Jestto broń groźna jedynie w szeregach ludzi pobożnych, w społeczeństwach w których duchowieństwo istotnie rząd dusz trzyma w swoich ręku; tam bowiem tylko słowa rzuconego przekleństwa stają się faktem, gdzie ogół w ich urzeczywistnieniu współdziała. Kościół jest tutaj sędzią wydającym wyrok, społeczeństwo gra rolę kata. Gdzie ono jest do tej roli odpowiednio nastrojone, tam i klątwa jest zbyteczna. Dość by kto został publicznie napiętnowany, niekoniecznie na ambonie lecz choć by w prasie katolickiej, a tworzy się wkoło niego pustka, jak w koło trędowatego, a czasem jak on — przeżywa mękę samotnego obumierania.

Polska szlachecka, stale odmawiająca „ramienia świeckiego" sądom duchownym, nie ma prawa dziwić się, ze budząca się do życia Polska ludowa wkracza w jej ślady i nie udziela go na zawołanie biskupom kieleckiemu, kujawskiemu, warszawskiemu. I duchowieństwo polskie winno się dziś pogodzić z obyczajem narodowym, jak rade czy nie rade — godziło się z nim za Piastów i Jagiellonów. I ono zresztą stare pielęgnuje tradycje. Z wyjątkiem epoki walki z reformacją w XVI-ym wieku, niemal wszystkie klątwy ciskane na królów, magnatów i szlachtę padały w walce o dziesięciny, sukcesje, dochody kościelne, podatki z dóbr duchownych ściągane.

W całej krucjacie przeciw *Zaraniu* najpedantyczniejsze badania nie mogły się też innego motywu doszukać. Od Władysława Laskonogiego do hetmana Sapiehy — od Sapiehy do Manteryse ciągnie się wątek odwiecznego zatargu, który we wszystkich epokach da się streścić w tych wyrazach: „Kiedy ty mi ziemskich dóbr uszczuplasz, to i ja przed tobą skarbiec niebieski zamykam".

I. Moszczeńska.

BADANIA NAUKOWE.

Kardynał Mercier i jezuita Tyrrell.

2)

(Ciąg dalszy).

II. Jerzy Tyrrel pochodził z rodziny irlandzkiej. Urodził się w Dublinie w 1861 r. (6 lutego). Rodzina Tyrrella była protestancką. Protestantyzm Irlandczyków nie wypływał z ich usposobienia narodowego, lub wyższego poziomu rozwoju umysłowego. Będąc narzucony przez klęski polityczne kraju, podobnież jak i katolicyzm przybierał cechy narodowe, świadczące o odrębności pokonanego ludu wobec zwycięzkich Anglików. Rodzina więc Tyrrella należała do tak zwanego *Low Church, Dolnego* Kościoła, różniącego się wielce duchem purytańskim i zewnętrznymi formami od *High Church*, właściwego Anglikanizmu, pod wielu względami zbliżonego i zbliżającego się do katolicyzmu.

Czy to atawizm nieświadomy, czy też wrodzony wyższym umysłom pociąg do dociekania osobistego *prawdy*, przybierający częstokroć pozory mistycyzmu, sprawił, że Tyrrell, nie zadawalniając się suchym i ciasnym purytanizmem, począł się zwracać, już w piętnastym roku życia, ku anglikanizmowi. Uczęszczając do świątyni tego wyznania, zbliżył się w niej do Roberta Dollinga, od siebie o lat dziesiątek starszego, w przyszłości księdza *rytualisty*.

Rytualizm, jako odłam anglikanizmu, ma pewne cechy wspólne z naszym *marjawityzmem* Mianowicie: kult Eucharystji i wybitne dążności społeczne w kierunku ludowym. Lecz ani kult ten specjalny, łączący rytualizm z katolicyzmem, ani też dążność ta wybitna, prowadząca do socjalizmu, nie mogły uspokoić Tyrrella w jego poszukiwaniu prawdy w dziedzinie religji.

Wpływ Dollinga przygotował w nim tylko skok, może przez obu na razie nieprzewidywany. W osiemnastym roku życia Tyrrel, jako już katolik wstępuje do Jezuitów w maju. W październiku zostaje już jako nauczyciel wysłany na Cypr, a następnie — na Maltę, do szkół, prowadzonych tam przez jezuitów. Wyróżniony zdolnościami, powraca do Londynu we wrześniu, 1880 r., i rozpoczyna właściwy w zakonie nowicjat. We dwa lata następnie, też we wrześniu (8-go, 1882), złożywszy pierwsze śluby (posłuszeństwa, ubóstwa i czystości), opuszcza Londyn, jedzie do Stonyhurst, gdzie w seminarjum uczy się filozofji scholastycznej.

Były to czasy wznowionego przez Leona XIII-go *tomizmu*, a właściwie, wprowadzanie — neotomizmu. Encyklika *Aeterni patris* (wydana w 1879 r. 4 sierpnia) nawoływała do tego zwrotu inteligencję katolicką. *Summa* Tomasza z Aquinu stać się miała źródłem, odmładzającym katolicyzm. Z upragnieniem rzucił się do wskazanego źródła łaknący prawdy Tyrrel. Pił z niego obficie, aż wpadająca mu do rąk w 1885 r. *Grammar of assent* Newmana owo napawanie się wstrzymała.

Tyrrell udaje się powtórnie na Maltę w 1885 roku też w charakterze, jak poprzednio, nauczyciela. Tam zaznajamia się z nowymi odkryciami naukowymi, czytając dzieła Tylora. Po pobycie trzechletnim na Malcie wraca w 1888 r. do Anglji i w Beuno, na północy Walji, kończy przygotowanie teologiczne do przyszłego swego zawodu. We wrześniu, 20-go, 1891 r., dobiegłszy do lat trzydziestu żywota, otrzymuje święcenia kapłańskie.

Te święcenia nie stanowią jeszcze końca prób wymaganych na nowy zawód, nie zamykają ich długiego okresu. Rok 1892 przepędza w sztucznym osamotnieniu, oddany ustalonym przez wieki praktykom ascetycznym, rozmyślaniom i modlitwom nakazanym. Ten rok ostatecznie przekonywa jego przełożonych, bacznie czuwających nad jego czynami i myślami, i poniekąd i — samego, że może rozpocząć działalność zawodową skutecznie. Jakoż w 1893 r. otrzymuje rodzaj probostwa w Prestonie. Następnie przebywa czas jakiś w Oxfordzie. Nakoniec, w 1894 zostaje profesorem moralności w najważniejszym kolegjum jezuickim, w owym Stonyhurst, tym samym, gdzie, jak to sobie przypominamy, uczył się jako seminarzysta filozofji scholastycznej, wskrzeszanego tomizmu. Sława jego jako uczonego i wymownego kaznodziei wciąż wzrastała. Podtrzymywał ją urok jego osoby i sposób życia, odpowiedni stanowi. Zaproszenia na konferencje wielkopostne do rozmaitych miast urozmaicały jednostajność profesorskich zajęć. Przytym i prasa dziennikarska ubiegała się o jego współpracownictwo. Jezuicki *Month* otworzył mu swe łamy i skwapliwie mieścił jego prace.

Pomimo to wszystko, ta jedność i zgoda pomiędzy młodym jezuitą i jego zakonem jako in-

stytucją religijną, mającą swe określone zadanie i stałe sposoby działalności, poczęła być bardziej pozorną, niż rzeczywistą. Przejście od św. Tomasza do Newmana przy zbaczaniu do Tylora nie mogło nie pozostawić śladów, jak w wykładach na katedrze i konferencjach na ambonach, tak też i na szpaltach dzienników, chociażby religijnych, nawet jezuickich, jak Month.

W r. 1896 władza zakonna pozbawia go katedry w kolegjum. Opuściwszy Stonyhurst, Tyrrel zamieszkuje w Londynie. Działalność piśmiennicza jeno wzrasta. Słowa jego i myśli nietylko rozbrzmiewają na konferencjach, nietylko ze szpalt dzienników przedostają się do szerokiej publiczności, ale—w osobnych książkach. W 1897 r. wychodzi *Nova et Vetera*, zbiór, jak sam autor je nazywa, *Informal Meditations*, niezwykłych rozważań; w 1898—*Hard Sayings*, wybór już rozważań i badań; w 1899 — *External Religion*; wydane w 1900 *Oil and Wine* początkowo, do 1907 r., krążyło bez tytułu, ze wzmianką: *for private circulation*. Nareszcie w tymże 1900 r. był też skończony druk jeszcze jednego dzieła, *The Faith of the Millions*, a selection of Past Essays, w dwóch tomach, czy też serjach. Lecz rozprzedaż była wstrzymana.

Chociaż wzmiankowane prace autor ogłasza z *imprimatur* władzy kościelnej, jednakże tak wzmocniona działalność wydawnicza nie była poczytaną przez tęż władzę za pożądaną. W 1900 otrzymuje Tyrrell od swych zwierzchników rozkaz opuszczenia Londynu i zamieszkania w Richmond. A ponieważ ogłaszane przez niego dzieła były właściwie *zbiorami* lub *wyborami* poprzednio już mieszczonych w publikacjach perjodycznych prac pomniejszych, przeto ma sobie wzbronionym ogłaszanie drukiem, nawet rzeczy najmniejszych rozmiarów, bez dozwolenia cenzury duchownej.

Ten rygor zmusza go do ukrywania się pod pseudonimami: w 1903 jako Hilaire Bourdon wydaje *The Church and the Future* w Edinburgu. Położony na książce nadpis: *for private circulation only* miał jednakże ograniczyć jej rozpowszechnienie. Również — jako już dr. Ernest Engels, pisze. *Religion as a factor of life*, w Exeter.

Jak wiemy, był to rok ogłoszenia przez Loisy: *L'Évangile et l'Église* i tegoż dzieła nieodzownego uzupełnienia. *Autour d'un petit livre*; rok śmierci Leona XIII; obioru Piusa X; wniesienia na Index pięciu dzieł tegoż Loisy; rok walki, rok nadziei, rok formalnego powstawania modernizmu, chociaż jeszcze bez tej nazwy. We Francji rozpoczynał się — *Loisysme*, w Anglji — *Tyrrellism*.

I rzecz zgoła zdumiewająca. W tymże roku z aprobatą ojca Charnleya, jezuity, oraz z *imprimatur* biskupa z Southwark, wychodzi książka Tyrrella: *Lex orandi*, o której takie pokazały się wkrótce sądy: „nicma wielkiej różnicy w poglądach i w sposobie ich wyrażania pomiędzy dziełem ojca Tyrrella i pewnymi dziełami Loisy; chociaż pierwsze zostało dozwolonym przez cenzora katolickiego rzymskiego, drugie zaś potępione w Rzymie (*Church Quarterly Review*); *Etudes*, organ jezuitów francuskich, nazywa *Lex orandi*: „kartą w dziejach wielkiej walki, która od czasów ukazania się małych książeczek czerwonych (potępione dzieła Loisy wychodziły w czerwonych okładkach) wydaną została katolicyzmowi przez nową szkołę, szerzącą ewolucjonizm dogmatyczny, najbardziej krańcowy". R. Gout, w dziele *L'affaire Tyrrell* (o którym wspomniałem) pisze: „wrażenie wywołane przez *Lex orandi* było jeszcze większe, niż przez *L'Evangile et l'Eglise*, a to z tej przyczyny, że ciemność tamtej silniej wzbudzała zaciekawienie i nakłaniała do rozmyślania". [1])

(C. d. n.). *I. Radliński.*

KRYTYKA.

Z teatru.

Gościł u nas ze swą trupą wielki artysta-reżyser i reformator teatru współczesnego — Reinhardt i dał dwa przedstawienia Sofoklesowskiego „Króla Edypa" w swej specjalnej inscenizacji w gmachu cyrku.

Rzucono hasło bojkotu berlińskiego teatru ze względu na stanowisko rządu pruskiego do polaków w Prusach, i bojkot ten, o ile leżał w zakresie możności szerszych polskich sfer w Warszawie, — przeprowadzono. Lecz jeżeli subtelności metafizyki polityczno-społeczno-artystycznej zakreśliły stanowisko polskich widzów względem niemieckiej sceny, tym niemniej przypuszczam, iż istnieją pewne postulaty leżące całkowicie w polu działalności sztuki a nakazujące *fachowcom* teatru polskiego (aktorom, reżyserom, krytykom a poniekąd i autorom) zrezygnować z bezwzględności bojkotu wychodząc z zasady: nawet od wroga nauczyć się czegoś można, a niekiedy (jak w tym właśnie wypadku) należy.

A nauczyć się czegoś w zakresie t. z. wielkiego repertuaru naszemu zwłaszcza teatrowi przydałoby się bardzo. Od szeregu lat trwają utyskiwania krytyki i publiczności, od szeregu lat co pewien czas zapowiadane są zmiany przez coraz to nowych reżyserów i kierowników teatralnych i od szeregu lat, o ile się wszytko w tej mierze nie pogorszyło, to napewno nie poprawiło nic.

Główny bo powód lichego poziomu naszej wielkiej sceny leży głównie nie w tym lub owym układzie repertuaru, lecz 1-o w tym, że zmiany kolejne różnych równych sobie naogół pod względem kwalifikacji reżyserów nie wykazały w żadnym istotnego twórczego ponad zwykłą miarę talentu, a 2-o w tym, że personel aktorski aczkolwiek, są w nim talenty i to wielkiej miary, nie operuje pełnią swych środków, bo albo mu brak jednych, albo inne posiada w zaniedbaniu.

Czym zaś jest dobre wyreżyserowanie sztuki (pomijam sposób inscenizacji jako w każdym wypadku względny), i do jak wielkiego poziomu urasta przedstawienie, gdy aktorzy operują pełnią w danym razie potrzebnych środków, — tego nas uczy teatr Reinhardt'a.

Więc, pozwolę sobie zrazu zacząć od punktu drugiego.

Dwa są środki wypowiadania się aktora: *głos* i *gest*, w który wchodzi mimika czyli gest twarzy, jako część składowa.

Owóż *głos* aktora do sztuk wielkiego repertuaru, głos wypowiadający najczęściej wiersz, *winien być wyszkolony śpiewaczo*, winien mieć

[1]) Jeszcze w 1899 pomieścił był Tyrrell w *Month* szkic myślowy tego dzieła p. t. *The relation of theology to devotion*. Następnie zaś przedrukował w I tomie *The Faith of the millions*. *Lex orandi* uzupełnione nakoniec zostało w *Lex credendi*, napisanym i wydane w r. 1906. Do tych dzieł jeszcze powrócę.

po za swoją możliwie metaliczną barwą, poza umiejętnością natężenia go od szeptu do okrzyku, calą skalę tonów, *muzycznych tonów* i skala ta powinna być wyrobiona we wszystkich rejestrach i zupełnie opanowana technicznie, by między mową (surogatem śpiewu) a wyśpiewaniem wprost danego słowa przez danego aktora leżała tylko możliwość potrzeby.

Ideałem posiadania i operowania wyżej wspomnianym środkiem w trupie Reinhardt'a jest aktor S. Moissi, chociaż po za nim wszyscy inni aktorzy w stosunku do naszych stoją na niesłychanie wyższym poziomie.

Pomiędzy nimi a nami leży cała przepaść konsekwentnie kultywowanych środków sztuki aktorskiej, przepaść, którą niemcy przebyli zwartą ławą, szkół szeregiem, a w którą my zapuszczamy się pojedynczo, dorywczo, lub zgoła ignorujemy.

Posłuchajcie jakiego wyrazu nabiera wiersz mówiony przez Moissi'ego, gdy się uwypukla, gnie, tryska błyskawicami donośnych okrzyków, przepełnia powietrze kłębami śpiewnych fal, bije w niebo jakimś zapamiętaniem dyonizyjskim, lub pełza cichym a strasznym w wyrazistości swej tragicznej szeptem, bryzga wartkimi słowy w dyalogu, lub dźwięczy niesłychaną prostotą jakby potocznej mowy.

A te trzy jęki rzucone po wykłuciu oczów sobie-Edypowi, te trzy krzyki z głębi rozszalałego bólem ciała a zdeptanego przez los duchowego jestestwa wychodzące, krzyki o barwie ostrej, chropowatej, trzymane długo na nucie wysokiej i stopniowym w chromatycznej gamie spadkiem staczające się jakby kulą lamentu o dźwięku coraz bardziej czystszym, metalicznym. Najmniejsze załamanie się głosu, najmniejszy zawód w środkach mógł się na artyście strasznie pomścić: groza zamieniła-by się w śmieszność. A tak zaś zalała ona słuchaczy wrażeniem wstrząsającym.

Są to szczyty techniki, o dotarciu na które teatr nasz zrazu marzyć nie może, lecz drogę nam ku nim wskazano.

Drugim środkiem wypowiadania się aktora, środkiem który powinien być w równej mierze jak głos wyszkolony - jest *gest*. I ten leży u nas przeważnie odłogiem, zaniedbany. Najwięcej nacisku kładzie polski aktor na mimikę, na gesty twarzy, na grę oczów i ust. Otóż równie jak sfornymi są układy muskułów na twarzy, tak *pewnymi być winny ruchy wszystkich kończyn i korpusu, mnogimi przytem w różnolitości swojej.* U nas zaś każdy prawie aktor ma kilka ulubionych i przez to w stosunku do siebie szematycznych nie powiem gestów, lecz układów ciała, w których trwa nie zważając na to, czy sztuka jest współczesna czy średniowieczna czy antyczna i kilka póz boleści, radości, miłości czy uniesienia wspólnych dla rzymianina, renesansowego włocha, kontuszowego szlachcica czy witezia wreszcie. Lecz pomijając już specyficzność pewnych ruchów dla pewnych epok (dowodem tego są choćby pozostałe zabytki sztuki malarskiej), pomijając piętno, jaki kładą na gest wieki, stanowisko społeczne, charakter i stan psychiczny, pomijając całą wskazaną powyżej różnolitość, konieczną jest dla tego środka sztuki aktorskiej jedna cecha stała, nieodparta pewność gestu, posługiwanie się nim z całą świadomością z góry zamierzonych granic ze ścisłym połączeniem z wypowiadanymi słowy lub sensem uczucia. Mistrzem pod tym względem jest u nas Frenkiel.

W wielkim zaniedbaniu gest pozostaje przy rolach podrzędnych, w okropnym zaś stanie jest u pp. statystów, chórzystów i t. z. „tłumu“. Manekinowe figury poruszające się bezładnie, najczęściej bez żadnego sensu, jakieś indywidua o drewnianych twarzach poprzebierane w kostjumy historyczne, banda jakby zahypnotyzowanych ludzi wyczyniających pozaświadomie zupełnie nienaturalne i nieodpowiednie gesty, odzywających się w razie potrzeby najokropniejszą kakofonją zgiełku, — oto tak zwany tłum, czy chór, czy pospólstwo w sztukach wielkiego repertuaru u nas. I wyżej wspomniane manipulacje wykonywają przeważnie tylko pierwsze szeregi, zwykle w gromadę owiec zbitego tłumu, ci z głębi naśladują o chwilę później przodowników, czyniąc plagjat z czołowej bezmyślności co w całości stwarza obraz irytujący, wstrętny. I tu przechodzimy do punktu pierwszego, do najwidoczniejszego bodaj powodu niskiego poziomu widowisk, do nieumiejętności operowania tłumem, do absenteizmu pełni zespołu, do braków strony reżyserskiej. Tak jak z poszczególnych środków kompletuje się gra jednego artysty, tak z układu osób głównych wraz z tłumem czy chórem operującym swymi zakresami tworzy się zespół sztuki, jej pełnia, ton ogólny utworu, jego wielkość sceniczna.

A jak operować tłumem, jak nadawać indywidualne cechy każdemu poszczególnemu odłamowi statystów, podporządkowując ich wszystkich jednocześnie jednemu przejawowi jednostki zbiorowej, jak operować chórem tak co do gestów jak i pod względem głosowym, jak doprowadzić mowę chóralną nie do zgiełku rozczochranego lub do unisonowych pomruków, lecz do melodyjnej, świadomie polifonicznej akordowości, — jak z układu grup wydobywać ekspressję jednego miotającego niemi uczucia, jakie tempo nadawać akcji w scenach poszczególnych, — tego wszystkiego można i należy się nauczyć od teatru Reinhardt'a.

I dopóki wszystkie wyżej wskazane dezyderaty nie będą wzięte pod uwagę, dopóki na scenie naszej nie rozbłyśnie istotna pełnia środków sztuki aktorskiej i reżyserskiej, — dopóty t. z. wielki repertuar będzie odstraszał publiczność lub deprawował jej gust, dopóty każde wystawienie arcydzieła swoich i obcych olbrzymów tragedji będzie mniejszą lub większą kompromitacją naszej pierwszej sceny, dopóty młodsze pokolenia artystów będzie pobłażliwie traktować legenda o złotych czasach wielkiego repertuaru u nas, legenda o dobie Tatarkiewiczów, Rychterów, Żółkowskich...

Kazimierz Wroczyński.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

*** Pan Maciej Wierzbiński w *Karjerze Warszawskim* w artykule „Atmosfera Poznańska“ wypowiada niezmiernie trafne uwagi z okazji artykułu Al. Świętochowskiego o „Gasnącej kulturze polskiej“ oraz polemiki, do jakiej dała początek.

Konstatuje on, że w obronie Wielkopolski, wygłaszanej przez pisma poznańskie

> wszystko wydaje się płytkim, niedomówionym, jest raczej krążeniem dokoła serca sprawy, do której trzewi niby do oparzeliska nikt nie śmie bodaj wsunąć ręki.

Poznańczycy dla odparowania zarzutów odbijają je pod adresem tych, co z gruntu poznań-

skiego wyrośli a porzucili go. Tego punktu jednak „adwokat stosunków poznańskich nie powinien wcale dotykać", gdyż stały exodus inteligencji jest wynikiem anemji duchowej Poznańskiego nie jego przyczyną.

Prusacy usunęli wszystkich, którzy mogliby pracować w dziedzinie wychowawczej i byli w społeczeństwie przedstawicielami nauki a filister dokonał reszty, ogolocił Poznańskie z czynników, noszących w sobie zadatki twórczości lub zgnębił je, skazał na milczenie. Więc ucieka z Poznania ten i ów — nie przez „brak hartu" lecz poprostu dlatego, że go tam nikt nie potrzebuje i potrzebować nie chce, że stanowi rażącą anomalję i nolens volens mówi sobie z Heinem: „gdy motloch zaprzęga się przed tryumfalny wóz swych czczych bałwanów, — nie ciągnę z nim".

Nie można nie przyznać słuszności Świętochowskiemu — pisze jeszcze p. M. W. — gdy mówi, że z Wielkopolski uleciała dusza, że opuściły ją moce twórcze, że kona tam kultura polska duchowa.

Zestawiając epokę Libelta i Cieszkowskiego z obecną, stwierdza słusznie, że linją demarkacyjną między nimi stanowi wybuch „Kulturkampfu" „Bismark wytrącił naszym liberałom broń z ręki, położył kres walce stronnictw i przyczynił się do zniwelowania i sklerykalizowania społeczeństwa poznańskiego".

Nastała zgoda, która wprawdzie buduje, ale [illegible]

W przyszłości nie wróży jednak pan Wierzb. zagłady kulturze polskiej w Poznańskim, przewiduje on bowiem, że strzelające od dołu pędy, które dziś dorastają umysłowo do tak zw. inteligencji z czasem ją przerosną. Poznań zmienił się w Chwaliszewo — mówi, to znaczy, ogniskiem życia polskiego jest to przedmieście, zamieszkałe głównie przez ludność pracującą.

Aby zaś uzdrowić Poznań pod względem polsko kulturalnym, trzeba obalić wszechpotęgę filistra. Niestety, to zadanie dla armji Herkulesów

Symbol dzisiejszego Poznania narzuca się oczom przybysza pod ponurą postacią więzienia średniowiecznego, zwanego pałacem cesarskim. Tak samo niegościnną, ciemno-szarą, średniowieczną i więzienną jest atmosfera poznańska.

*** Tegoroczny obchód setnej rocznicy śmierci Kołłątaja przybrał szersze rozmiary, niżby tego pragnęli nasi konserwatyści. Warszawskie *Słowo* uczciło tę rocznicę — jak wiemy — wylewem żółci przeciw wielkiemu demagogowi. Krakowski *Czas* z innej strony go atakuje. W hołdach składanych Kołłątajowi, hołdach słusznych — jak twierdzi — razi go brak miary. Obawia się on, aby społeczeństwo nie zapomniało Kołłątajowi jego akcesu do Targowicy.

Cytując jego uwagi *Goniec wieczorny* pisze:

Kierowniczy organ ugodowców wszystkich dzielnic, prowadzący naszych przedstawicieli rodów historycznych po drogach dawno już utartych, a zmierzających zawsze, dziwnym zaiste trafem, do stolic obcych, zarzuca teraz Kołłątajowi akces do Targowicy. Nie sądzimy, aby mąż tak olbrzymich zasług dla narodu, jak Hugo Kołłątaj, potrzebował naszej obrony lub tłumaczenia z chwilowych błędów. Zapamiętać sobie tylko warto, że oto w 1912-ym roku potomkowie Targowiczan wyparli się przez usta *Czasu* — Targowicy. Czy szczerze, tego przesądzać dziś jeszcze nie będziemy.

Bardzo słuszna uwaga; w żadnym kraju rola dziejowa „historycznych rodów" nie daje im tak mało tytułu do przodownictwa w narodzie jak u nas, mgdzie nie byłoby dla nich równie pożądane zerwanie z własną tradycją i odwrócenie oczu od ciemnych kart przeszłości. Historyk Askenazy mówi, że zaniedbanie przez historyków szkoły krakowskiej badań nad historją rozbiorów i epoką porozbiorową płynęło z serwilizmu względem rodowej arystokracji, która musiałaby w nich wyczytać kronikę swych zdrad i hańbiących zbrodni. *Czasowi* przystoi milczeć o sznurku pomnąc, w czyim domu mieszka.

*** *O dwóch braciach mądrych i... tym trzecim...* Jedno z pism niemieckich, które o wyjątkowo przyjazne uczucia względem Polaków, posądzić niepodobna, analizując wniosek „o wzmocnieniu niemieckości w niektórych prowincjach", doszło do przekonania, że z punktu widzenia realnych korzyści „niemieckości", (czytaj: niemieckiego stanu posiadania), takie ustawiczne „wzmacnianie" staje się jedynie dowodem *niemocy* i *arbitralności* polityki dotychczasowej. Podobne stanowisko zajął poseł do Dumy von Anrep, wyrażając zdanie, że z punktu widzenia państwowego, projekt wyodrębnienia Chełmszczyzny jest szkodliwy, gdyż, nie dając żadnych pozytywnych rezultatów, „podburza jednocześnie część ludności i szerzy wśród niej niezadowolenie." Trzecim wnioskodawcą w sprawach polskich doby obecnej jest biskup Łosiński, lecz jego projekt wzmocnienia religijności w niektórych djecezjach" (czytaj: biskupiego stanu posiadania), który rzucił ziarno nienawiści między lud polski i kiedyś osądzony będzie jako wizerunek biskupiej arbitralności i niemocy, nie nasunął dotychczas zwolennikom rządów kościelnej demagogji wątpliwości w skuteczność stosowanych przez nią środków.

*** Jednak *Zaranie* nie ulękło się pogróżek pastorału: „Więc za kradzież, za niegodziwości różne, za pijaństwo rozgrzeszenie dają, a za czytanie prawdy nie dają go! W oczy ona kole, więc ją usilują pogrzebać, jak bywało dawniej..."

Grzech to powiedzieć choćby księdzu: za wiele dobrodzieju bierzesz!? Grzech-to przed Bogiem mówić: księże pralacie, nie tak czynicie jak nauczacie? Albo czy grzech przed Bogiem powiedzieć księdzu, prosimy o rachunki z funduszów kościelnych? (*Zaranie*).

Ale stokroć większe niż artykuły naczelne *Zarania*, które wzywa do wytrwałości na raz obranej placówce, ma znaczenie dział inny p. t: *Co ci wyklęci myślą i czują?* Tutaj chłopi w szeregu listów odpowiadają na pytanie co oni za „grzechy" nadal, jak i dotychczas, będą uważali. Antoni Sapor z Zelewa donosi o jakimś wiejskim Savonaroli, który, jak jego florencki poprzednik, organizuje oddziały świętej armji z dzieci, do walki z *Zaraniem*. Jak tamten wołał, że wiedza daje ludziom kamień zamiast chleba, tak dziś:

na katechizacji dzieciom opowiadane są niestworzone rzeczy o zaraniarzach i w domu Bożym naucza się je, by darły i paliły to djabelskie pismo, gdzie je tylko zobaczą. Ale gdy z ambony w ostatnią niedzielę posypały się wymysły, to gromadka zaraz po nabożeństwie poszła z żądaniem, aby ksiądz odwołał te niedorzeczności.

W innych okolicach naszego kraju „przygotowania wojenne zostały ukończone; biskup wypowiedział wojnę,—poddani zgłaszają się do szeregów:

Wawrzyniec Krysiak z Kiełpińca pod Sterdynią donosi, że, podniecony przez miejscowego ks. Wojciechowskiego, ciemny tłum, gotów rzucić się na owych wyklinanych „Zaraniarzy", a nawet przyszło już raz do napaści.

„Wobec takich obaw zrodziło się w jednej wsi przekonanie o potrzebie obrony i chęć szukania jej w najwyższej instancji kościelnej, u papieża“. Zaraniarze protestują przeciw temu:

Nie polskiemu chłopu szukać sprawiedliwości u papieskiego tronu, gdzieby go nawet nie dopuścili: a zresztą skargi swojej w obcym języku wypowiedziećby nie umiał. Na własną wytrzymałość i na słuszność swej sprawy, co bez wysokich obrońców zwyciężyć musi, liczy on.

Wyklinanie nie stłumi ruchu ludowego, bo on idzie jako fala, zataczając coraz szersze kręgi — a skargi tu nic nie pomogą; lud pójdzie swoją drogą!

Tak wygląda „działalność“ polskiego duchowieństwa w gub. Siedleckiej w chwili, gdy prawica żąda od Dumy wyodrębnienia i tego skrawka ziemi z pod wpływów „polskiej agitacji!“ Może odetchnąć poseł Wojejkow i jego mocodawcy, ambona nie ma czasu na „polską agitację“ wzywając do „gromienia“ własnych „odstępców“, w dosłownym, rosyjskim przekładzie tego słowa.

„Niewojenna generacja“ duszpasterzy prowadzi dalej akcję papierową. Oto co pisze w *Zaraniu* Stanisław Jagusiński z Raszewa pod Kutnem:

U nas w Kutnie ogłoszono też okólnik o *Zaraniu* a jeszcze od siebie ks. prałat Zbrowski dodał drugi okólnik, żeby wierni nie rozmawiali o Macochu, żeby w domach katolickich o tym mowy nie było, a kto od dnia dzisiejszego będzie o tym przestępcy mówił, to musi się z tego spowiadać. A razem z tym wydane zostało rozporządzenie, aby czytać tylko pisma ks. Kłopotowskiego i Godlewskiego: widocznie zaczęło im ubywać przedpłatników w naszych stronach i takimi sposobami ich nagabują. A o idei Chrystusowej nie słychać z ambony nic.

Takich listów czytamy w *Zaraniu* mnóstwo. Funkcjonarjusze kieleckiego infułatu nie zdają sobie jeszcze sprawy ze swej niemocy. Ratują powagę stanu duchownego samowolą i gwałtem; nie posiadają zimnej pragmatycznej rozwagi von Anrepa, ani logiki naszych „przyjaciół“ z nad Sprewy. Gorączkują się, wydają maniackie okólniki i rozporządzenia które zaraniarze, jak widzimy, traktują bardzo wesoło. *Ten trzeci* w walce z polskim ludem ma niewielkie szanse zwycięztwa...

Więc słuszne są poglądy *Kultury Polskiej* na dzisiejszą metodę sterowania nawą Piotrową:

O powstrzymaniu ruchu emancypacyjnego naszych włościan, zbyt długo ogłupianych i poniewieranych przez księży, mogą marzyć tylko naiwni teokraci, którzy stracili zupełnie zdolność rozumienia rzeczywistości. Rozpęd ten doszedł do takiego natężenia, że zbuntowani prędzej zerwą węzły religijne z duchowieństwem, niż poddadzą się jego tyranji.

I my wierzymy, że po tej polskiej trawestacji XVI wieku, po zamęcie marjawickiej Reformacji i toczących się obecnie „wojnach chłopskich“ nastanie u nas nareszcie wiek XX.

*** *Ukłon przed pięścią.* Pod tym tytułem zamieszcza *Kurjer Poranny* garść uwag o stanowisku posłów polskich w Sejmie pruskim, podczas wywołanego przez polakożercę Schifferera i prezydującego bar. Erffę skandalu. Jak wiadomo, posłowie polscy razem z socjalistami Leinerlem, Hoffmanem i Borhardem przerywali mówcy, którego wywody nazwał nawet *Berliner Tageblatt* „ein gutes Stück politischer Heuchelei“ — Lecz jakież stanowisko zajęli ciż sami posłowie względem socjalisty Borharda po barbarzyńskim rozporządzeniu prezydującego? Tylko jeden z nich, jak *Berliner Lokal-Anzeiger* zaznacza — podał bohaterowi chwili za pośrednictwem socjalisty Hoffmana, *Kodeks karny*, w którym postępek bar. Erffy kwalifikowany jest jako *zbrodnia*. Inni polacy, nie głosowali nawet przeciw uchwale tę zbrodnię aprobującej!

Kurjer Poranny ostro występuje przeciw takiemu stanowisku:

Wszakże posłowie ci są przedstawicielami sfer wielkoziemiańskich i duchownych, a zarządzenia barona Erffy skierowane były przeciwko niebezpiecznemu wrogowi dzisiejszych urządzeń społecznych — socjalizmowi. Prawda, że ten socjalista w dzisiejszym państwie pruskim jest jednym z bardzo nielicznych przyjaciół polskości, i że nadstawił karku na pięści policyjne, podkreślając obrazowo system gwałtu, znęcającego się nad prawem obywatelskim podczas dyskusji nad ustawą, zadającą gwałt prawom Polaków. Dlatego też Koło polskie nie śmiało głosować za komplementem dla barona Erffy, co niewątpliwie zrobiłoby w każdym innym wypadku.

Dzięki tej „neutralności“ — dodaje *Kurjer Poranny* lekceważą polską politykę zarówno polakożercy jak i przyjaciele wolności w Niemczech. „Ta neutralność sprawia, że nikt się z nami nie liczy i że wrogowie czują się zachęceni do kopania, a przyjaciele zniechęceni do bronienia“.

KRONIKA.

WALKA O ZIEMIĘ. Zapisek niniejszy obejmie ruch sprzedaży ziemi, który odbył się na ziemiach W. Ks. Poznańskiego i w obu Prusach pomiędzy 15-ym marca a 1 maja r. b. Na wstępie dodamy, iż pisma nasze i zab. pr. niedość skrzętnie prowadzą tę ważną w naszym życiu narodowym rubrykę, pomijając często obszary wykupywanych miejscowości i nie wymieniając ich przynależności administracyjnej. Pociąga to naturalnie pewną niedokładność w prowadzonym przez nas pieczołowicie dziele walki o ziemię polską.

Zacznijmy od Poznańskiego...

Tu w ręce polskie przeszedł tysiącomorgowy majątek — Kuźnica bobrowska — w pow. ostrzeszowskim leżący. Tę połać ziemicy ojczystej uratował na przetargu ze szponów Komisji kolonizacyjnej Bank parcelacyjny z Ostrowia.

Pod Mogilnem przeszedł w ręce polskie majątek Rękawczyn, obszaru 450 morgów, za który Niemiec otrzymał 250,000 mr. Dalej w Wielkopolsce Polacy wy kupili od Niemców 4-y drobniejsze posiadłości, obszaru łącznego 525 morgów.

Wkońcu p. Adamski z Wrześni nabył od Niemca za 88,000 mr. folwark pod Międzyrzeczem.

Teraz kolej na „wybranków“ z „czarnej listy“... bo tych tu, niestety, nie brak.

Gospodarz Staroszczak zaprzepaścił „Mittelstandkassie“ swe gospodarstwo w Ławeckich Budach pod Trzemesznem (pow. mogileński). Dalej w tym samym powiecie Mieczysław Henclewski niecnie zaprzepaścił 335-io morgową posiadłość komisji kolonizacyjnej za 180,000 marek. Również na Kujawach w Koraczewku sprzedawczyk Nowastowski odstąpił „Mittelstandkassie“ swe 65-morgowe gospodarstwo i Jan Szczechowiak zaprzepaścił swą gospodę w czysto polskiej wsi — Łagiewnikach — w pow. gnieźnieńskim. Piąty wypadek kupczycielstwa dobrem narodowym zdarzył się znów na Kujawach, bo w pow. mogileńskim zaprzepaszczono małe

polskie gospodarstwo. Nakoniec Ignacy Pawlak z całą świadomością zaprzedał Niemcowi swe 85-morgowe gospodarstwo w Pobiedziskach (pow. poznański-wschodni) za 36 tys. mr.

Ogółem więc w tym okresie czasu polski obszar ziemny w W. Ks. Poznańskim wzrósł o 1975 mg. a sprzedawczycy uszczknęli zeń jakieś 600 morgów i to w dzielnicy zalewanej najzajadlej przez falę niemiecką, t. j. na Kujawach. Tu też akcję obronczą należałoby wszcząć jaknajusilniej.

Przejdźmy teraz do dzielnicy nadmorskiej — Prus Zach. Tu grono niecnych sprzedawczyków powiększył Henryk Donimirski, odstąpiwszy „Bauerbankowi" piątą część swej posiadłości (t. j. około 360 mg.) leżącej w pow. sztumskim. Dalej w Zwiniarzu w pow. lubawskim gospodarz Januszewski sprzedał posiadłość swą kupcowi Seeligowi z Poznania za 83,000 mr. i tenże nabył drugą posiadłość 50-morgową, za którą otrzymał gosp. Siemiński 24,000 mr.

Nabytki polskie były następujące: majątek Cybnowo obszaru 700 mórg kupił od Niemca — p. Wnuk. Dalej przeszedł tu w polskie ręce folwark Zawada obszaru 308 mórg.

W Tucholskiem Polacy nabyli dwie posiadłości obszaru 900 morg. Tedy w Pr. Zach. straciliśmy do 500 morgów ziemi polskiej, a zyskaliśmy 1908 mg. ziemi polskiej. Nakoniec w Prusiech Wschodnich p. Malak nabył dobra — Schorlottenhoff (?!) — obejmujące 1,300 morgów. Suma naszych nabytków w 3-ch dzielnicach zab. pr. wynosi 5,183 mg., a ubytków 1 100. A więc okres to mimo wszystko korzystny.

WYDAWNICTWO KSIĄŻEK W PAŃSTWIE ROSYJSKIM. W r. 1908 wydrukowano w państwie 2*,352 nagłówków w liczbie 75,868,320 egzemplarzy, za 25,082,691 rb.; w r. 1909 — 26,638 tytułów, w 101,466,908 egz. za 28,354,207 rb., w r. 1910 — 28,057 nagłówków, w liczbie 109,990,500 egz. za sumę 35,312,018 rb., zaś w roku zeszłym 32,361 nagłówków, w liczbie 123,709,440 egz. za sumę 38,452,451 rb.

Wzrost tedy wydawnictw książkowych jest z roku na rok znaczniejszy. Największa ilość wydawnictw przypada na język rosyjski. W roku zeszłym wydano w języku rosyjskim 25,526 utworów, w liczbie 103,302,583 egzemplarzy za sumę 33,225,395 rb. Na wszystkie inne języki razem wzięte przypada 6,835 utworów, wytłoczonych w liczbie 20,497,077 egz., wartości 5,234,054 rubli.

W pierwszym rzędzie wśród języków nierosyjskich mamy język polski, w którym wydano w roku zeszłym 1,664 książki, dalej idzie język żydowski, w którym wydano 590 utworów, prócz tego zaś 395 utworów w języku hebrajskim.

W języku niemieckim wydano 920 książek, po łacinie — 603, w języku estońskim — 519, w tatarskim 372, w ormiańskim — 266, w języku ukraińskim — 242, w gru- [illegible]

Rzecz znamienna, że liczba wydawnictw w języku rosyjskim ustępuje liczbie wydawnictw w innych językach w jednym tylko zakresie, w zakresie książek religijnych, których w języku rosyjskich wydano w roku zeszłym tylko 299 w liczbie 4,436,454 egz., gdy w innych językach wydano książek religijnych 1,294 w 5,864,364 egz.

KONFISKATA Nr. 17 *Przeglądu Wileńskiego* został skonfiskowany z rozporządzenia komitetu cenzury za wydrukowanie artykułu wstępnego p. n. „Świt" p. Ludwika Abramowicza.

ZMARLI:

Antoni Donimirski, długoletni redaktor *Słowa*, wybitny publicysta i zasłużony działacz społeczny obozu zachowawczego, zm. dn. 14 b. m. na anewryzm serca, w wieku lat 66. Liczne jego prace, zwłaszcza w sprawach ekonomicznych, oraz uwzględnianie w nich czynnika ludowego, stanowiły w naszej publicystyce pożądany w swoim czasie nabytek i zjednały autorowi uznanie szerokiego ogółu, nawet poza kołami konserwatywnymi.

O G Ł O S Z E N I A.

Wydawnictwa „PRAWDY".

Antoni Menger: Prawo do całkowitego wytworu pracy CENA k. 75

Karol Gide: Rozwój instytucji społecznych w ciągu XIX stulecia rb. 2

Prenumerata „Prawdy" wraz z bezpłatnym dodatk[illegible]

W Warszawie [illegible]

Z przesyłką poczt. [illegible] Królestwa, [illegible] i zagranicy: [illegible] rb. 2 kop. 50 [illegible] rb. 10

[illegible]

Sekretarz redakcji przyjmuje [illegible]tów codziennie, oprócz niedziel [illegible]

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać [illegible] nictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, [illegible]

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Kierownik literacki: **Wincenty Rzymowski.**

Redaktor: **Aleksander John.**
Wydawca: **Józef Jabłoński.**

Druk. L. Bogusławskiego [illegible]